

PLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 13 CZERWCA 1931 ROKU.

NR. 24.

TREŚĆ NUMERU: Praca społeczna jako zawód — *Dr. M. Słimińska-Zarzecka*. „Il Santo” — *Stefanja Podhorska-Okolón*. Twój patron — *Ewa Szelburg-Zarembina*. Św. Antoni Padewski w sztuce — *I. J.* Za białą ścianą (szkic powieściowy) — *Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska*. „Spaliliśmy świętą” — *Aura Wyleżyńska*. Od „jamu” do kryzysu finansowego — *N. J.* Z teatrów — *S. P.* O. Przedstawienie „Wzorówki”. Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Dobra wróżka — *Zofja Miszewska*. Z cyklu „Czem dorabiać” — *M. Dobrowolska*. Metody obchudzania — *Dr. med. Zofja Rostkowska*. Piętnaście procent — *Pani Elżbieta*. Obiady dla pracującej inteligencji — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”.

PRACA SPOŁECZNA JAKO ZAWÓD

I.

Pojęcie pracy społecznej w ostatnich latach uległo gruntownemu przekształceniu.

Poprzednio nadawano jej zabarwienie filantropijne, często sentymentalne, uważając, że podejmowanie jej zależy wyłącznie od dobrej woli osób, obdarzonych większą, niż inni, wrażliwością na niedole ludzkie; obecnie utrwała się coraz szerzej przekonanie, że praca społeczna jest obowiązkiem, ciężącym na wszystkich członkach społeczeństwa, tylko skala jej jest b. różna: im więcej ktoś otrzymał, im wyższe miejsce zajmuje w hierarchji społecznej, tem obowiązek pracy większy, rozleglejszy. Każdy więc obywatel, uchylający się od podejmowania odpowiedniego dla niego obowiązku pracy społecznej, jest niesumiennym dłużnikiem, za którego albo inni wypłacić się muszą, albo też powstaje w życiu społecznym luka, wypełniona poczuciem krzywdy społecznej, często nawiścią, dążeniem do gwałtownego przewrotu.

Ale żeby praca społeczna, tak szeroko pojęta, mogła rozwijać się normalnie, muszą być, oprócz rzeszy ochotniczych, kierownicy, którzy, traktując pracę społeczną, jako zawód, dają jej jednocześnie przez wysokie wymagania, stawiane garnącym się do niej kandydatom — godność powołania.

Praca społeczna, obejmująca rozległe dziedziny życia współczesnego, dzieli się na 3 zasadnicze działy: 1) praca kulturalno-oświatowa, 2) ekonomiczno-gospodarcza, 3) opiekuńczo-charytatywna.

Praca kulturalno-oświatowa wykształciła i wykształca coraz więcej form, które dadzą się również ująć w szereg grup. Pierwsze miejsce zajmuje naucza-

nie dorosłych i młodzieży w wieku pozaszkolnym. Praca ta wobec ciągle jeszcze dużego procentu analfabetytów książkowych, zwłaszcza na Kresach wschodnich, wobec częstych wypadków analfabetyzmu powrotnego zarówno na wsi, jak i w mieście, wobec groźby, że wskutek kryzysu ekonomicznego, jaki przeżywa nasze państwo, nawet pewien odsetek dzieci znajdzie się poza szkołą powszechną na długie lata — ma znaczenie pierwszorzędne dla naszego życia kulturalnego.

Formy jej są b. różne: przejawia się jako kursy początkowe, kursy dla dorosłych, uniwersytety ludowe, bądź jako niedzielne szkoły obywatelskie i t. p. Jest to praca, zbliżona do nauczycielskiej i przeważnie przez nauczycieli szkolnych prowadzona, choć metody jej muszą być inne ze względu na odmienny przedmiot oddziaływania, zwłaszcza, jeśli wziąć pod uwagę uniwersytety ludowe, lub niedzielne szkoły obywatelskie, które nie powinny być tylko formą zastępczą szkoły powszechnej, ale mają cele swoiste, znacznie szersze, jak podniesienie ogólnej kultury wśród najszerszych warstw, wychowanie wzorowego obywatela; wymagają też one raczej oświatowca, niż nauczyciela szkolnego.

Drugie miejsce w dziale kulturalno-oświatowym zajmuje praca świetlicowa, rozrastająca się niesłychanie, podejmowana przez coraz nowe instytucje, rozumiejące jej znaczenie kulturalne i wpływ kształcący. Świetlica, która przez zdrową rozrywkę, umiejętnie połączoną z nauczaniem, ma kształcić charaktery indywidualne, wyrabiać zmysł społeczny, państwowy, przyswajając szerokim masom dorobek kultury narodo-

wej, jest jedną z najbardziej celowych i pożytecznych form pracy kulturalno-oświatowej.

Świetlice są ciągle jeszcze terenem eksperymentów dla ludzi, do tej pracy nieprzygotowanych, i dlatego zapotrzebowanie sił fachowych jest duże. Zwłaszcza jednostki, obdarzone znaczną dozą inicjatywy, energią życiową, zdolnością niecenia w duszach zapалу, a nadewszystko pełne pogody i zdrowej radości — są najbardziej pożądane w tej niesłychanie odpowiedzialnej pracy.

Do rozrastających się coraz bardziej prac z dziedziny kulturalno-oświatowej należy bibliotekarstwo. Jest ono jakby dalszym etapem nauczania, daje bowiem niedawnemu analfabecie do ręki książkę — najlepszą broń, zabezpieczającą go przed nieszczęściem powrotnego analfabetyzmu. Projektowana ustawa, mająca wprowadzić przymus zakładania bibliotek w gminach, niepomniernie rozszerzyłaby teren działania. Pamiętać jednak należy, że celem pracy bibliotecznej nie jest tylko danie do ręki czytelnikowi książki, ale dostarczenie książki dobrej, skontrolowanie, czy umiał ją sobie przyswoić, zachęcenie, aby przez lekturę rozszerzył swój horyzont myślowy, uszlachetnił serce.

Jest to więc bardzo odpowiedzialna praca wychowawcza, wymagająca dużej dojrzałości umysłowej, zdolności oddziaływania na innych, wycucia psychologii czytelnika. Często w mniejszych ośrodkach praca bibliotekarska łączona jest z innymi formami pracy kulturalno-oświatowej, najczęściej ze świetlicową, które to formy mogą sobie wzajemnie pomagać.

Jednym jeszcze rodzajem pracy kulturalno-oświatowej jest praca wyłącznie instruktorska, polegająca na pobudzaniu inicjatywy istniejących organizacji społecznych, wykuwaniu wytrwałości w poczynaniach, dawaniu impulsów do zakładania nowych potrzebnych instytucji, kontrola działalności już istniejących. Jest to praca, wymagająca zdolności inicjatywnej, szybkiej orientacji, tężyzny duchowej, uskrzydłonej zapalem młodzieńczym, niezrażającym się przeszkodami, oraz umiejętności przemawiania, która jest ceniona we wszystkich działach pracy kulturalno-oświatowej i która, opanowana w dostatecznym stopniu, ułatwia ogromnie znalezienie posady.

W drugim dziale pracy społecznej, ekonomiczno-gospodarczym, kobieta może znaleźć dla siebie cały szereg terenów o dużej doniosłości, na których może pracować z pożytkiem dla ogółu i zadowoleniem dla siebie. Jedna grupa, wymagająca jednak, obok przygotowania społecznego, wykształcenia handlowego — to praca w kooperatywach spożywczych, rolnych, mleczarskich i t. p. Drobiazgowość kobiety, jej sumienność i uczciwość są zaletami bardzo w tej dziedzinie cennymi i rokującymi duże możliwości wyrobienia się i wybicia na stanowiska kierownicze.

Dalej — niezwykle ważna jest praca instruktorska, zwłaszcza na wsi pobudzająca do organizacji

(Kola gospodyń i t. p.), do podniesienia ogrodnictwa, hodowli, przemysłu ludowego, umiejętności szycia, gotowania i t. p. Wymaga to, oprócz przygotowania społecznego, wykształcenia zawodowego w odpowiednim dziale.

Trzecia dziedzina pracy społecznej, opiekuńczo-charytatywna, wykazuje dwie odmienne, choć w niektórych punktach pokrewne cechy: w jednej przeważa charakter pracy wychowawczej, w drugiej higieniczno-pielęgniarskiej. Pamiętać jednak należy, że jeśli nie każda praca wychowawcza musi mieć charakter charytatywny, to każda praca charytatywna musi uwzględniać cele wychowawcze. Jak wiadomo, praca opiekuńcza dzieli się na opiekę zamkniętą, w której przedmiot oddziaływania pozostaje pod zupełną opieką instytucji, i otwartą, w której opieka udzielana jest przychodzącym. Każda z tych grup rozpada się na zakłady: 1) dla dzieci i młodzieży i 2) dla dorosłych.

W opiece otwartej dla dzieci i młodzieży charakter wybitnie higieniczno-pielęgniarski ma praca w Stacjach opieki nad matką i niemowlęciem: dając opiekę matce, ułatwiając korzystanie ze środków leczniczych, mają one zapewnić zdrowie przyszłym pokoleniom.

Pokrewne instytucje — to poradnie, które dają pomoc dzieciom chorowitym, upośledzonym umysłowo, nienormalnym psychicznie. Wprost olbrzymie znaczenie mają poradnie przeciwgruźlicze i przeciwalkoholowe: dążą one narazie do zmniejszenia tych dwu nieszczęść, które dziesiątkują naszą młodzież, niszczą w zaraniu życia jednostki często najdzielniejsze, najwięcej obiecujące, lub, jak alkoholizm, przysparzają społeczeństwu istot moralnie zdeprawowanych, lub zagrożonych obłędem.

Zdobyczą nowych czasów w Polsce, utrwaloną w Sejmie przez kobiety, są przy większych fabrykach przymusowo wprowadzone żłobkiienne, które zapewniają niemowlętom opiekę i bezpieczeństwo przez czas pracy ich matek.

Dalszy etap pracy w żłobku — to przedszkole dla dzieci, których matka zajęta jest poza domem, lub które w domu nie mają dostatecznych warunków, aby przygotować swój umysł do bliskiej już nauki szkolnej przez umiejętnie podane im początki, a przede wszystkim przez planową, rozwijającą zabawę. Jest to praca o przeważającym pierwiastku wychowawczym, wymagająca dużo inicjatywy, umiejętności krzesania radości, charakteru równego i pogodnego.

Podobne cechy posiada praca w świetlicach dla dzieci w wieku szkolnym. Świetlica umożliwia dzieciom rodziców niezamożnych przygotowanie lekcji szkolnych, a jednocześnie przez zabawy, pogadanki, przedstawienia amatorskie, spełnia doniosłą rolę kulturalno-wychowawczą.

Do opieki zamkniętej należą żłobki dla dzieci porzuconych, lub sierot, schroniska, domy wychowawcze, wreszcie bursy dla młodzieży starszej.

Dr. M. Słowińska-Zarzecka.

„IL SANTO“ *)

(w siedemsetlecie śmierci Świętego Antoniego Padewskiego)

Soczysta zieleń równiny lombardzkiej poszarzała od lipcowego skwaru, kiedy nasz pociąg zatrzymał się w Padwie. Szybko przebiegliśmy miasto, rozpalone do białości. Zbliżało się południe. Kiedy zdyszani wpadliśmy do bazyliki, owionął nas miły chłód i cisza. Kościół był prawie pusty. Pątników niewielu.

Tylko w kaplicy Świętego skupiło się kilka osób; każdy prawą dłoń przyłożył do marmurowej ściany grobowca. Zrazu zdawało się, że chłodzą sobie dłonie; ale dość było zajrzeć w twarze tych ludzi, aby zrozumieć, że nie dla ciała, ale dla duszy szukali ochłody w dręczącej spiecu. Przez przyłożenie ręki do grobu Świętego nawiązywali kontakt ze zmarłym, a jednak żywym i bliskim. Zwierzali mu swoje troski, wyznawali tajemnice, prosili o radę, wierząc głęboko, że przez tę samą rękę spłynie na nich strumień łaski, źródło życia, wiecznie bijące w kamiennej cysternie śmierci. Nie płakali, nie bili się w piersi, nie szeptali żarliwych modłów. Przykładali w ufnym milczeniu dłoń do marmurowej płyty, jakby przykładali ją do „jego“ serca. Odchodzili pewni, że Święty ich zrozumiał i prośby wysłucha.

Święty Antoni jest na całym świecie tym najbliższym, najbardziej poufnym orędownikiem drobnych spraw i trosk powszednich, jest świętym na co dzień, a nie tylko „od wielkiego dzwonu“, patronem szarych ludzi, którzy nie w wielkich czynach, ale w przyziemnym trudzie, w gęstwinie niedostrzegalnych koleców i cierni torują sobie ścieżynę zbawienia.

Stąd ta wzruszająca, wszystko ogarniająca ufność, która każe zarówno małemu dziecku natarczywie prosić Świętego, żeby mu znalazł zgubioną zabawkę, jak niedołęznej staruszce, aby jej pomógł w nawlęczeniu igły, jak młodej dziewczynie, żeby jej znalazł dobrego męża, jak wreszcie mędrcom, żeby mu wskazał drogę do odnalezienia samego siebie...

I dlatego niema najuboższego nawet kościółka, któryby się nie zdobył na figurę Świętego Antoniego z Dzieciątkiem na ręku i lilją w dłoni.

Kimże był ten Święty, bez którego nie może się obejść życie człowieka prostego i stroskanego?

Był jednym z tych, którzy całe życie swoje i wszystkie swe zasoby i zdobycze duchowe oddali na użytek bliźnich. Święty Antoni był niewyczerpany w obdzielaniu innych, tak jak są ludzie nienasyceń w braniu.

Urodzony w Lizbonie w 1195 r., z moźnej rodziny portugalskiej, nosi zrazu imię Fernandez. W 15 roku życia zostaje sierotą i postanawia poświęcić się stanowi zakonnemu. Wstępuje do klasztoru kanoników regularnych reguły św. Augustyna i zagłębia się w studja nad Pismem św. „Miłość do Boga krzepi cnotą swoją“ — powiada jego biograf.

Zdawało się, że z pełnego gorliwości młodzieńca

wyrośnie uczony mistyk, zagrzebany za życia w prochach ksiąg. Tymczasem, jak niegdyś Piotrowi zastąpiła drogę postać Chrystusa, podobnie na drodze Fernandez stał potężny duch, który go swoim ogniem nawskroś przepalił i z uczonego kanonika uczynił żbrzącym mnichem, bratem Antonim.

Tym duchem potężnym i płomienistym jest święty Franciszek z Assyżu.

Kiedy Fernandez miał lat 24, sprowadzono do miasta Koimbry, gdzie wówczas przebywał w zakonie, zwłoki pięciu Braci Mniejszych, uczniów świętego Franciszka, umęczonych w Afryce przez Saracenów. Ich męczeństwo budzi w Fernandezie pragnienie również bohaterskiej śmierci za wiarę. Niedarmo w żyłach jego płynie (jak twierdzą późniejsi jego biografowie) krew Gotfryda de Bouillon. Tylko że tamten krwią niewiernych otwiera sobie wrota Jerozolimy, ten własną krwią chce sobie otworzyć wrota nieba.

W tym celu wstępuje do zakonu Minorytów, ku wielkiemu niezadowoleniu kanoników regularnych, którzy w nim widzieli przyszlą sławę swojej kongregacji. „Idź, idź, zostaniesz świętym!“. Temi ironicznymi słowami pożegnał go jeden z towarzyszy.

— Jeśli usłyszysz, że świętym zostałem, bezwątpienia oddasz chwałę Bogu, — odpowiedział Fernandez i zamieszkał w klasztorze franciszkańskim pod wezwaniem św. Antoniego Pustelnika, zmieniając swe imię chrzestne na imię patrona klasztoru.

Na jego gorące życzenie wysyłają go z misją do Afryki, ale omija go tak bardzo upragniona śmierć męczeńska. Ciężko chory, chce wrócić do Portugalji. Burza zapędza jego okręt na Sycylię. Już nigdy nie ujrzy rodzinnego kraju... Udaje się do Assyżu i tam w Porcjunkuli poznaje św. Franciszka. Tutaj dusza jego zostaje wystawiona na ciężką próbę.

Po tragizmie nieosiągniętego męczeństwa przychodzi tragizm osamotnienia. Brat Antoni czuje się niepotrzebnym w Zakonie... Nikt się nim nie zajął, nie dano mu żadnej misji. Osiada na pustelni, na górze świętego Pawła koło miasta Forli. Wielką pokorą osłania swoje niezwykle wykształcenie. Pogrąża się w najgłębszą ascezę.

Aż oto nadchodzi drugi przełomowy moment w życiu Świętego. Wezwany do Forli, na żądanie kardynała wygłasza kazanie do zakonników. Zdumienie ogarnia słuchaczy. Milczący i nieśmiały braciszek przemówił z całą mocą natchnienia i wiedzy religijnej. Zaczyna się nowa era jego życia: działalność kaznodziejska.

Święty Antoni zostaje, podobnie jak wielu braciszków franciszkańskich, kaznodzieją wędrownym. Głównym zadaniem, jakie sobie postawił, jest obrona

*) Włosi mówią o świętym Antonim poprostu „Il Santo“ — Święty, nie wymieniając jego imienia

wiary przeciw sektom Katarów czyli Albigensów. Montpellier, Tuluza, Arles — oto środowiska, w których działał, opierając swoje apostołstwo na głębokiej wiedzy. Następnie przenosi się do środkowej Francji.

Podczas kazania w Bourges zwraca się do miejscowego arcybiskupa, wytykając mu jego błędy, a czyni to z taką mocą przekonania, że arcybiskup wybuch płaczem, a po kazaniu „otwiera przed św. Antonim rany duszy swojej”. Jako kustosz klasztorów franciszkańskich w prowincji Limousin, zakłada klasztor w mieście Brive. Groty św. Antoniego w pobliżu tego miasta są i dziś jeszcze celem nabożnych pielgrzymek.

Kapituła generalna, zwołana po śmierci św. Franciszka, mianuje św. Antoniego prowincjałem Romanioli. Wtedy to św. Antoni przybywa poraz pierwszy do Padwy, z którą odtąd na zawsze związane będzie jego imię. obrońca wiary staje się obrońcą maluczkich i uciśnionych. W Padwie, podobnie jak w innych miastach włoskich, szalała orgja kapitalizmu i lichwiarstwa. Niewypłacalni dłużnicy stają się niewolnikami swoich wierzycieli. Gorliwy wyznawca Biedaczyny Bożego wypowiada zaciętą walkę złotemu cielcowi. Mistyk i teolog wychodzi z kościoła na ulicę, aby ulżyć nędzy doczesnej.

W magistracie padewskim przechowuje się dokument, świadczący, że na prośbę św. Antoniego złączono ustawę o bankrutach, łamiąc potęgę kapitalistów na korzyść warstw pracujących.

Jednocześnie kazaniem swemi wpływa na podniesienie poziomu moralności wśród padewczyków. Potęga jego wymowy jest tak wielka, że w mieście ustają zupełnie kradzieże. Może dlatego vox populi uczynił później świętego Antoniego patronem rzeczy zgubionych...

W walce gwelfów z gibelinami św. Antoni wziął udział, jako orędownik zwyciężonych. Kronikarze współcześni notują jego pojedynek słowny z namiestnikiem cesarskim Ezzelinem, zakończony moralnym triumfem Świętego.

Praca kaznodziejska wyczerpała wątłe siły św. Antoniego. Męczy go wodna puchlina, brak mu tchu.

Z wiosną roku 1231 udaje się na wieś w okolice Padwy, gdzie przyjaciel zakonu franciszkanów, hrabia Tiso, wśród konarów rozłożystej olchy buduje mu celę, w której Święty spędza na rozmyślaniach ostatnie dni swego życia. Dnia 13 czerwca zasłabł silnie i prosił braci, aby go odwieźli do Padwy. Czuł się jednak tak źle, że po drodze musiano się zatrzymać w Arcelli. Na chwilę przed śmiercią zwierzał się otaczającym go zakonnikom, że widzi Zbawiciela.

Zasnął cicho w piątek d. 13 czerwca 1231 r. na krótko przed wieczorem, mając lat 36.

Przy jego grobie działały się liczne cudowne uzdrowienia. Śmierć nie przecięła nici miłosierdzia, którą snuł przez ciąg swego żywota. Rzecz znamienita: kościół notuje tylko jeden cud, dokonany przezeń za życia: uzdrowienie czteroletniej dziewczynki, która nie mogła chodzić, ale pełzała po ziemi, jak gad. Kto wie, czy ten jeden cud nie był niejako widowym symbolem całej niewidzialnej, a tak bardzo doniosłej działalności Świętego.

Czemże był jego trud, jak nie budzeniem człowieczeństwa w pełzającym ludzkim płazie?

Dzisiaj, gdy cały świat wierzący korzy się przed Patronem „rzeczy zgubionych”, zdobądźmy się na nasz własny indywidualny wysiłek w szukaniu tego, cośmy zatracili: spróbujmy odnaleźć w sobie i uskrzydlić — człowieka.

Stefanja Podhorska-Okolów.

TWÓJ PATRON

Idę tą samą drogą.

Dużo zmieniło się od tego czasu, kiedy szła tędy po raz ostatni: drzewka, któreśmy sadzili po obu stronach drogi, rozrosły się w duże, samodzielne kasztany i ażurowe cienie ich palczastych liści tworzą teraz jednolity, prawdziwy cień.

Również trawa po bokach, pod kasztanami gęsta jest i tak zbita w jeden zielony trawnik, iż dziś wydaje mi się rzeczą niewiarogodną, że wówczas siliśmy ją, jako drobnouchne, pojedyncze ziarneczka, co wschodziły rzadziutko pojedynczemi źdźbłami.

Zmienił się nawet parkan z dębowych desek, które przecież już wówczas były martwe i, jako takie, nie zapowiadały żadnych zmian.

Teraz poszczególnych desek rozróżnić prawie nie można z pod siwych i z pod rdzawych porostów,

którymi obrosły, a zdziczałe caprifolium wiązaniem giętkich wici i srebrnych liści spaja je w jeden mur. owiany zapachem zwiewnych, żółtych kwiatków, które, o Boże! są takie same dziś, jak wówczas... które jedne są te same!

I kiedy tak stoję z zerwanym kwiatkiem caprifolium w drżących ustach, oczy moje spostrzegają nagle na drodze twój ślad: ciemne, małe, trójkątne znaki od okutej laski.

...rozerwany Różaniec głęboko odcisniętych w skamieniałej ziemi maluteńkich, trójkątnych serc...

Że też to jeszcze zostało po tobie? że też to jeszcze trwa! Siadam na brzegu obcej mi drogi, w cieniu nie twoich już i nie moich kasztanów, i drżący palec kładę na zastygły w ziemi ślad okucia laski. Na małą ciemną bliznę. Przypomnę sobie. Tak. Przez siedem lat cho-

dziesięć tędy dwa razy dziennie. Rzecz nieprawdopodobna: przez siedem lat nie było ani jednego dnia, ażebyś nie szedł tą drogą tam i zpowrotem.

Na małą, ciemną bliznę w suchej ziemi kładę obie ręce: teraz cię widzę cielesnymi oczami, jak widywałam cię tu idącego przez siedem lat mego dzieciństwa. Idziesz prędkim, gorączkowym krokiem ciężko chorego człowieka, który nie ma czasu na chorowanie ani, tembardziej, nie ma czasu na śmierć. Ma tego czasu zaledwie tyle — aby żyć!

Idziesz nieco przygarbiony, ale uśmiechnięty i w każdym ruchu swym tak zwinny, tak zachwycająco lekki, że nie można wcale dostrzec, jak ciężko opierasz się na swojej lasce, która cię podtrzymuje i dźwiga, jak jej się trzymasz kureczowo, gdy ona tobą kieruje, ta gruba, ordynarna żółta laska, z wytartą czarną rączką.

Widzę ją, tę laskę, jak cię troskliwie poprzedza i jak uważnie zatrzymuje się, gdy chcesz przystanąć. Wtedy środek jej, choć jest tak gruba, wygina się odrobinię i cała laska drży... ale tego nikt nie dostrzega, tylko ja, która drepczę obok na tłustych, krótkich, dzieciennych nóżkach i patrzę z dołu na was oboje: na ciebie i na żółtą laskę, której rączkę oplatasz z taką ufnością przezroczytymi, żółtymi palcami.

Zazdroszczę lasce, ale nie śmiem tego powiedzieć. Po chwili ruszacie z laską w dalszą drogę, a po was na tem miejscu pozostaje trójkątny mały ślad, głębszy od innych.

Myślę, że to jest właśnie ten, nad którym teraz siedzę.

Poczekaj... Poczekaj... Już nie widzę ciebie. Widzę tylko laskę. Laska, zwalana ziemią, stoi beczynną w sieni pomiędzy szafą a wieszadłami.

Droga jest pusta. Schnie ziemia na lasce. Chcę ją któregoś dnia oczyścić. Mówią mi, że nie potrzeba, że już nie. Poczekaj, poczekaj. Nie widzę już także laski. Drzwi domu otwarte naprzestrzał — osłupiałe oczy gryzie dym jałowcowy.

Na drodze pełno ludzi. W kościele, za drogą, dzwonią, choć to nie święto i wieczór.

Teraz widzę ostatni raz Ciebie i laskę. Jesteście znowu razem. Leżycie obok siebie. Na martwym drewnie żółtej laski splecione twoje martwe, żółte ręce. W przerażający, niezrozumiały dla mnie — dziecka, sposób odchodzicie z domu oboje.

Ja myślę, że to ona wyprowadza nam ciebie. Krzyczę i chcę cię odebrać. Nie odszedłbyś przecież bez laski. Musiałbyś zostać! Ale mi nie dają tego zrobić. Każą być cicho i mówić „Wieczny Odpoczynek“.

Ludzi jest teraz pełen dom, pełen ogród, pełen kościół, pełen cmentarz. Jestem cicho, mówię „Wieczny Odpoczynek“ i drepczę dziecinnymi, małymi nogami wśród wielkich, dorosłych ludzi, którzy mi zasłaniają ciebie i twoje drogie, kochane ręce, oparte nie na mojej głowie, a na lasce, którą matka, tak, jak tego chciałeś, dała ci i na tę drogę.

...twoje ręce...

Zaraz... zaraz... Przypomnę sobie... Tak.

Jeszcze było jedno, coś wziął na drogę ze sobą oprócz starej, żółtej laski. Jeszcze było coś w twoich splecionych rękach, bez czego nie mógłbyś się z nami rozstać. Pamiętam: mały obrazek święty, przedstawiający twojego Patrona.

To ja ci go dałam tłustą, dziecinną rączką z dołeczkami, w pierwsze zapamiętane przezemnie twoje Imieniny, w ten pierwszy z wielu potem dni, zaznaczonych w kalendarzu, jako dzień 13-go czerwca.

Było ich dużo, tych świętych obrazków, w starej matczynej księżce do nabożeństwa, oprawionej w szafirowy aksamit, zamykanej na srebrną klamrę. Były piękniejsze, o atlasowym połysku, ze złoconymi brzegami. Ale ten był jeden, ten był najpiękniejszy! Na tamtych wymalowani byli różni święci: święta Barbara z mieczem, którym ją ścięto; święty Maurycy z włócznią; święty Michał, związujący diabła; święty Piotr, zwisający głową na dół z krzyża; święty Sebastian, przebitý strzałami...

Z drżeniem, z lękiem całowało się je w powietrzu, nie dotykając wargami, i czemprędzej kładło się je zpowrotem pomiędzy żółtkle karty matczynego modlitewnika. Nawet dobrą, łagodną świętą Elżbietę, z różkami w pole płaszcza, zamykało się bez żalu na srebrną klamrę. Tylko ten jeden obrazek był zrozumiały, bliski, ulubiony. Tylko jego wyprosiło się z książki nad własne łóżeczko: uśmiechnięty święty Antoni ze śmiejącą się świętem Dzieciątkiem w ramionach.

...Czyż nie tak samo brałeś mnie na ręce przez wszystkie szczęśliwe wieczory mego dzieciństwa, gdy w długiej białej koszulinie stawała przed tobą, aby cię pocałować na dobranoc?

Twój Święty, ojczulku, niepostrzeżenie stał się moim świętym. To jasne: kochał przecież dzieci i na imię Mu było tak, jak tobie: Antoni.

W naiwnych myślach dziecka niema bluźnierstwa. Miłość dziecka nie obraża Świętych: święty Antoni Padewski i Dzieciątko Jezus, przytuleni do siebie, patrzyli z uśmiechem na małą dziewczuszkę, tuloną w ramionach przez ojca.

...Przez siedem szczęśliwych lat mego dzieciństwa.

Nie wiedziałam wówczas, Dobry Święty, że odnajdujesz zguby, jeśli Cię o to gorąco prosić, i że nagradzasz straty. Dziś wiem.

Ale wiem i to także, że zguby mi mej nie odnajdziesz i straty mej mi nie nagrodzisz — nie proszę Cię też o to. Ludzie, którzy odeszli, sprawy, które umarły, niechaj śpią w spokoju — aż się czas wypełni.

O co inne Cię proszę: daj ludzkiemu sercu tyle błogosławionej siły, aby nie uszło przedwcześnie, ale rosło w potęgę, jak co roku rosną coraz bujniejsze, coraz gęściejsze źdźbła traw przy pierwszej lepszej drodze.

Ewa Szalburg-Zarembina.



Murillo: „Święty Antoni z Dzieciątkiem“. Galerja berlińska.

ŚW. ANTONI PADEWSKI W SZTUCE

Ikonografja — malarskie wyobrażenie Świętych — ma swoją długą historję. W malarstwie przedrenesansowem punktem wyjścia były tu oczywiście względy czysto religijne. Malowano Świętego, dzieje jego życia, jego „legendę“, ku pamięci i zbudowaniu pobożnych. Albo też ustawiano go w orszaku, otaczającym Madonnę, lub umieszczano u stóp Krzyża, by oplakiwał Mękę Chrystusową.

Oczywiście, sprawa jakiejś synchronizacji nie była tu zupełnie brana pod uwagę. Chodziło zawsze o tę pewną treść wewnętrzną, którą wyobrażany święty reprezentował — o zaakcentowanie, przez wyobrażenie tej treści, czci i adoracji wobec Tego, który jest najwyższą Świętością.

Inaczej rzecz się miała z przedstawieniem w całych długich cyklach żywota jednego świętego, wszystkich cudów, które sprawił, śmierci męczeńskiej, która dnie nieskazitelne wieńczyła. Te prace, wykonywane zawsze na zamówienie świątyni, czy kaplicy, pozostającej pod wezwaniem danego świętego, miały na celu przede wszystkim możliwie najwierniejsze zdanie sprawy z zaszłych zdarzeń, przekazanie ich ku pamięci przyszłych pokoleń — stanowiły poprostu pew-

nego rodzaju cudowne, barwne, częstokroć pełne niewypowiedzianego wdzięku, „archiwum“. Zawsze jednak powstanie tych jedyńych w swoim rodzaju dokumentów determinowała surowa wiara, absolutne przeświadczenie o prawdziwości tego, co się opowiada — lęk jakiś, naiwna, a wzniosła powaga przy zbliżeniu się do świętości.

Z renesansem stosunek ten ulega z wolna przekształceniu. Z jednej strony daje się zauważyć znaczne osłabienie uczuć religijnych, gwałtownie wzrastająca ciekawość i żądza życia, bujnego, krwistego życia — przeciwstawienia tych wszystkich wartości, które się wywodzą od ascezy, od umartwienia, od dobrowolnego ugięcia się pod Krzyżem. Z drugiej — wzrasta niepomiernie autonomiczna wiedza malarska; budzi się, powiększające się wciąż, zainteresowanie problemami czysto formalnymi z zakresu plastyki. Coraz częściej wyobrażenie scen religijnych przestaje być celem samym w sobie, coraz częściej służy tylko, jako *decorum*, lub jako pretekst do rozwiązania jakiegoś zagadnienia fachowego: koloru czy kształtu; czy nawet staje się tylko umówionym szablonem dla wyobrażenia treści wręcz a-religijnej.

Ascetyczny święty Sebastjan, pokluty od strzał—przekształca się w pysznego efebę, który zachował tylko zewnętrzne emblematy, przekazane przez tradycję: pozę człowieka, przywiązanego do drzewa, i strzały tkwiące w ranach. Ale treść istotna, którą przemawia teraz to piękne ciało męskie, jest zupełnie, zupełnie różna od tej dawnej, naiwnej i surowej... Madonny stają się teraz wytwornymi damami z wyższych sfer włoskich, pieszczącymi na rękach pulchne, różowe bambina...

Ten los ogólny dzieli i święty Antoni Padewski. Ten franciszkanin, wsławiony swym pięknym dziełem apostołskim, życiem pełnym samozaparcia się, poświęcenia i słodyczy; nie jest zresztą postacią, zbyt często przez artystów wyobrażaną. Głównym powodem jest tu prawdopodobnie stosunkowa świeżość jego „legendy”. Istotnie, najchętniej opracowywane są te żywoty: zdarzenia, które mają już za sobą długą tradycję tematów malarskich: żywoty świętych i apostołów, figurujących w Ewangeljach, pierwszych męczenników chrześcijaństwa, albo wczesnych Ojców Kościoła. Św. Antoni z Padwy — to święty bardzo jeszcze stosunkowo „młody”: umiera w połowie XIII wieku.

W Padwie, oczywiście, znajdują się najcenniejsze dzieła, Jemu poświęcone. Tutaj do kaplicy Jego imienia robił freski sam mistrz — Tycjan. Freski, niezależnie od treści, którą przedstawiają: zdarzeń cudownych a tajemniczych, cierpień i śmierci — tchnące wspaniałą harmonją, spokojną pełnią umiaru, takie promienne w swem wewnętrznym, podskórnym niejako



Murillo: „Św. Antoni z Dzieciątkiem”. Muzeum w Sewilli.



Donatello: Posąg brązowy św. Antoniego w bazylice w Padwie.

życiu kolorów, takie chyba dalekie od pokornej brunatności franciszkańskiego habitu... Tutaj, w Padwie, w wielkim ołtarzu, znajduje się najwspanialszy bodaj wyraz hołdu dla tego prostego, o cichem sercu „brata mniejszego”: niezrównany w swem syntetycznym związaniu, pełen siły i prostoty posąg — dzieło wielkiego Donatella. Donatellowski św. Antoni jest bojownikiem, dusze w jasyr zagarniającym nietylko mocą swego serca, ale i tą nieogarnioną potęgą, której jest tylko reprezentantem.

I znów odnajdujemy św. Antoniego w obrazach najbardziej południowego kraju Europy, na ziemi czarnych i białych kontrastów, płonących ognia, krwawych igrzysk, najpiękniejszych pieśni miłosnych: na ziemiach półwyspu Iberyjskiego, skąd zresztą jest rodem ten mnich lizboński. W XVII w. Ribera, posępny twórca niedocenionych jeszcze do dziś arcydzieł, cały żar fanatycznego serca i cały rozmach rasowego pendzla kładzie w obraz, poświęcony apostołowi chrześcijaństwa wśród Maurów — obraz, znajdujący się w Madrycie. I Murillo zainteresował się postacią św. Antoniego, malując go w kilku nawet wersjach, w właściwy sobie, nieco zmanierowany i przesadzający sposób. Maluje go z Dzieciątkiem w ramionach, bo tego wymaga tradycja w stosunku do wyobrażenia tego Świętego. Czuje się tu owo czysto malarskie lubowanie się w kontraście tego zestawienia: surowego



Goya: „Cud św. Antoniego“.

męskiego oblicza, na którym cierpienie wyznaczyło już krzyż brzd — i świeżej, niewinnej, *niewiedzącej* twarzyczki Dzieciątka, w której niema nic boskiego; jest to dziecko wogóle, dziecko uniwersalne.

Ostatnim bodaj z „wielkich“, którzy malowali św. Antoniego, jest w XVIII w. Goya. Na suficie kaplicy de la Florida znajduje się ów przedziwny fresk, malowany zresztą napół tylko techniką freskową, napół temperą — jakże bardzo, możnaby rzec, a-religijny! Święty, w swym franciszkańskim habicie, czyni cud: wskrzesza umarłego. Dokoła zgromadziło się całe wytworne, rozbawione towarzystwo hiszpańskie: damy, pacholikowie rozfigłowani, młode dziewczęta...

Wszyscy patrzą na ów cud, jak na jakiś niezwykle sensacyjny spektakl... Gdy się skończy — dalej będą toczyć przerwana konwersację... Różowa, złocista gama kolorów, lekkie, lekkie, niewysłowienie przejrzyste tony...

Zaiste, dalecy jesteśmy od życia św. Franciszka i jego uczniów, które niegdyś — za dawnych, dawnych lat — w pokorze, w prostocie serca odmalował na ścianach bazyliki w Assyżu — Giotto... l. j.

ZA BIAŁĄ ŚCIANĄ

(szkic powieściowy)

To już tak było zawsze, od dzieciństwa. Matka miała bladą, smutną twarz, lubiła się skarżyć i płakać. Była przecież wszystkim potrzebna, ale jednocześnie nikt się z nią w domu nie liczył. Ani papa, ani dzieci, nie mówiąc o sługach.

To już tak było dawno i Rena przywykła. Ostatecznie nie było czasu myśleć, dlaczego tak, a nie inaczej. Zawsze są ważniejsze sprawy. Przedewszystkiem: osiem lat szkoły. (Lato się nie liczy. Wakacje są tylko od wesołości; nie patrzy się wtedy w zaczerwienione oczy matki). Książki, książki, wkuwanie, cztery białe ściany klasy. Więc byleby tylko te kanapki do śniadania na czas, byle cała bielizna, no, chłodny pocałunek w pośpiechu — i starczy. Przynajmniej na teraz.

Marek też. Zawsze wołał ojca. Ba! Ten był zupełnie skądinąd. Ze świata beztroski, ze świata nieprawdziwych, ładnych zdarzeń. Zawsze uśmiechnięty, pachniał wodą kolońską, miał jedwabiste włosy i przynosił co niedziela ciastka. I jeszcze teraz taki sam. Tak samo pyta przy obiedzie:

— No, jak się macie, dzieciaki?

A matka pachnie szmalcem, ma szorstkie dłonie i robi awantury ze służącą.

Ot i teraz: z gąszczu naplecionych na myśl formułek algebraicznych wydziera się igła dyszkantu Leośki:

— Nikt pani nie dogodzi! Łaniola trza!

— Cicho! Jeszcze raz mówię, cicho! — (to matka, rozpaczliwie, przez łzy, uparcie).

Przerywany, ujadający jazgot przenika poprzez ściany, strzępiastą plewą obsypuje książkę.

— Cielęcina nie staniała, mówię!

— Staniała! Sprawdziłam dzisiaj!

— Niech pani sobie sama kupuje co dnia!

Ostre igielki zdenerwowania znowu dotkliwie atakują zgięte plecy. Jeszcze tyle, tyle trzeba przełknąć „wiedzy“, tyle bezładnych, rozrzuconych wiadomości poskładać do szufladek głowy! Za tydzień — za tydzień — jak mało czasu!...

Rena otwiera okno. Odrazu wciska się do pokoju fala nowych odgłosów: na pierwszym śpiewa znowu ta włoszka:

— „Man-ca sol-le-ci-ta...“

Mały punkcik — żółty kanarek sąsiadki — akompanjuje. Z dołu, z wilgotnego pudła podwórka unoszą się szare kłęby kurzu. Rytmicznie trzepią dywany. Natrętny pył obsypał maleńkie drzewko, przypięte do asfaltu podwórza, jak ametystowa broszka.

A przecież nad szarym złomem dachu przyklepiony skrawek czysto błękitnego nieba przypomina o wiosnie — a przecież wróble rozćwierkane...

— Reniu, nie widziałś kluczy od kredensu?

Nagle cofnięcie, trzask zamykanego okna. Przypływ złości:

— Nie widziałam. Nie moja rzecz! — (Naumyślnie okurzyć szorstkością to wieczne zakłopotanie!).

— Coś taka harda?

— Mama nie wie, że muszę mieć spokój? Ciągłe coś przeszkadza! Mama nie wie, że za tydzień matura? Zrozumcie, że muszę się uczyć!

— Dobrze już, dobrze, Reniu... Przepraszam... A może byś co zjadła?... — wycofuje się pobita Troška. I od tego pokornego głosu lechce w gardle nieprzyjemną skruchę...

— Nie, dziękuję. Tylko niech mama powie Markowi, żeby przestał z tym „gigolo“... uszy bołą...

— Cóż ja mu zrobię, moja Reniu?! Wiesz, jaki jest.

Drzwi zamykają się starannie, bez hałasu.

To prawda, Marek jest nieznośny. Nikogo nie posłucha. Ojciec mu na wszystko pozwala. Wielka figura: podporucznik! Ot, macie go.

— Czego szukasz w mojej szafie?

— Widocznie coś mi potrzeba... „będziemy znów we dwoje...“! Nie widziałas spinek? Cóż jaśnie panna nie chce bratu odpowiadać? Oficerowi? Władzy?... „No, daj, daj, daj mi, dziewczusko, buzię piękną, jak jabłuszko...“ Nie widziałas, psiakość, tych spinek?! Tragedje z tą nauką! Jak komu brakuje w głowie, to nic nie poradzą magowie... Żegnaj!

Ogłuszający trzask drzwi. Jeszcze gwizdże natrętna melodia: „będziemy znów we dwoje...“

Brat. Niecnota. Wieczne utrapienie. Byleby drażnić! Nigdy szacunku. Nie wiadomo nawet, co się kryje w tych (chytrych?) oczach.

Rena wzdycha głęboko. Oczy przylepiają spojrzenie nierozzerwalne do druku. Wreszcie siłą oderwane odgłosy życia odczepiają się od świadomości. Myśl z determinacją zapada w szyb kopalni matematycznej.

*

Pani Bracka z wypiekami na twarzy ukończyła rozprawę z Leošką.

— Zawsze chcesz być mądrzejsza! Coś straszniego, jak wam się w głowach przewróciło!

Bohdan przyjdzie dziś wcześniej na obiad. O czwartej ma sprawę baronowej Grün. A klopsiki jeszcze w lesie. Kurzy też Leoška nie stárła w gabinecie. Nie zapomnieć zacerować tej koszuli sportowej dla Marka. Żeby tylko sobie co złego nie zrobił na tym meczu (syn Olesiowej do dziś dnia ma krzywy nos po takim futbolu)! Kiedy się zdąży z porządkami?... Już wszyscy mają sprzątnięte. Dobrą wynalazła jatkę, jeszcze na jutro będzie obiad z tej cielęciny. Bo też wszystko trzeba samej! Biedna Renia! Tyle musi umieć, tyle się męczyć! POCO te matury podłe!

W anemję dziewczyna wpadnie!... Żeby już przeszły te egzaminy!...

Pani Bracka wzdycha ciężko.

— Leoška! Nie tłucz tak talerzami! Okna otwarte... nie wiesz, panienka się uczy!

*

Czas jest zawsze obecny: nawet i wtedy żyje, gdy my wsiąkamy duszą w chłonny aksamit nocy. „Od tego, że żadnej chwili zatrzymać się nie da — można nawet zwarjować“ — tak mówiła koleżanka Jola. I miała rację. Nadeszła pora matury — a ona nie może zdawać, bo akurat ciężko chora. Z tą głową. Stanowczo za dużo myśli — a teraz co? nie da rady na przymus okoliczności.

Brakuje w ławce, obok, szczupłego kwiatu — Joli. Trudno się jednak nad nią teraz rozczulać.

Godziny kanciate, drewniane, przewracają się powoli. Chwila oczekiwana nie tylko nadeszła, ale jest, trwa nieskończenie długo. Jest początkiem jutra, a przekreśla dziś. Jest znakiem zapytania, który będzie miał różne odpowiedzi. Zależnie od przypadku. Na to pracowało się, czekało osiem lat, żeby teraz pokazać światu (bo szkoła przecież i tak wie), tak, żeby pokazać światu swoje: umiem.

Nisko schylają się głowy dziewcząt nad pulpitemi. Chłodno, „sfinksowo“ uśmiecha się ciało pedagogiczne z za zielonego sukna. Rena rozumie:

Pomiędzy „teraz“, a „potem“ zbudowali kręty tunel. Trzeba umieć go przejść, nie otworzywszy oczu. Po drodze nabierać maleńkich jagódek wiadomości, ułożyć wszystkie ładnie na talerzu z dłoni i oddać mądrym.

Pokiwają głowami, oceniają:

— Umiesz, idź dalej.

Słońce zagląda psotnie w okno. Złoci kredową ścianę klasy. Ale światło jest za murem. Tak, z pewnością. A tutaj jest ciemno. Kto to pyta?

— Jakiej barwy będzie sukno na katedrze, jeśli w oknach zawiesimy czarne stopy?

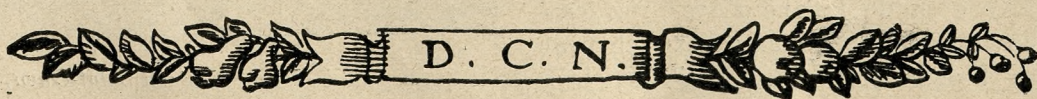
Aha, to „łapka“ maturalna.

Wszystko, wszystko będzie purpurą — rwie się skocznie uradowana podświadomość.

Cisza szerokimi kręgami rozstrzuwa po klasie blade uśmiechy wyczekiwania. Skrzypią dyskretnie spracowane stalówki. Myśl ślizga się po temacie, jak pióro po arkuszu. Opracować, rozwiązać temat. I później jeszcze to i to. Czerwone plamki skaczą pod powiekami.

Wyprowadzili jedną „kandydatkę“ — niedobrze jej. Krótki popłoch, chrząkanie. I znowu mozolne, wytężone zbieranie pokłosa myśli, które dziś więcej, niż kiedykolwiek, nieuchwytnie, rozproszone w bezradności.

Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska.



„SPALILIŚMY ŚWIĘTĄ“

(od specjalnej korespondentki)

W katedrze Notre Dame i w każdym wiejskim kościółku stoi, wiecznie sztandar dzierżąca, w zbroi i z mieczem, lotaryńska pasterka. Do pomnika przy ulicy Rivoli, gdzie złota, na złotym siedzi koniu, z mowami przychodzą władze świeckie złożyć hołd tej, która jedynie wiarą w ocalenie kraj ocaliła. Zасыpują kwiatami rycerską dziewicę, że znów wydaje się być wiosna w Domrémy, wiosna jej lat szesnastu. Poczem, już teraz tylko duchowni, prowadzą przez miasto pochód do drugiego pomnika, przed kościołem świętego Augustyna, modlitwami obcują ze Świętą.

Zawsze w maju, w Paryżu i całej Francji, dzień jeden jest oddany Jehanne la bonne Lorraine; ten rok, jako 500-lecie jej skonu, cały jej poświęcony, a punktem kulminacyjnym są uroczystości w Rouen i Orléans, gdzie Karola VII-go koronowała i gdzie twarz jej w kamieniu wykuta. Pomimo protestu konserwatorów, którzy w rzeźbie tej chcą widzieć któregoś z królów, tradycja zwycięża, i z tych grubych męskich rysów czerpią artyści natchnienie do swoich najbardziej idealnych wizyj świętej dziewczyny.

Rouen na ostatni tydzień maja zgromadziło duchownych, uczonych i literatów całego świata, aby wypowiedzieli, co myślą. Czem była: natchnioną, świętą, czy bohaterką?

Była natchnioną, świętą bohaterką, ale trzeba to jeszcze powtarzać i nawet udowodnić.

Obok świętego Franciszka z Assyżu, Joanna d'Arc jest jedną z tych świętych, którzy najbardziej niepokoją uczonych, artystów i literatów. Każdy z nich patrzy na nią, jak na zagadkę, i szuka własnego jej rozwiązania.

Zohydzić Pucelle d'Orléans chciał Wolter, a zarażony przez niego Adam Mickiewicz jeden rozdział Darczanki przełożył; Szyller na skrzydłach romantycznych zawikłał wznosił ją tam, gdzie dusza prosta nie była; szukając prawdy historycznej, dokumentami zakłamał dzieje sceptyczny Anatol France; Bernard Shaw z jasnowidzącej uczynił histeryczkę; Józef Delteil zmodernizował średniowieczną pasterkę, że jadła kartofle przed odkryciem Ameryki, ważyła kila i przy zamianie męskiego stroju na kobiecy szukała Galeries Lafayette.

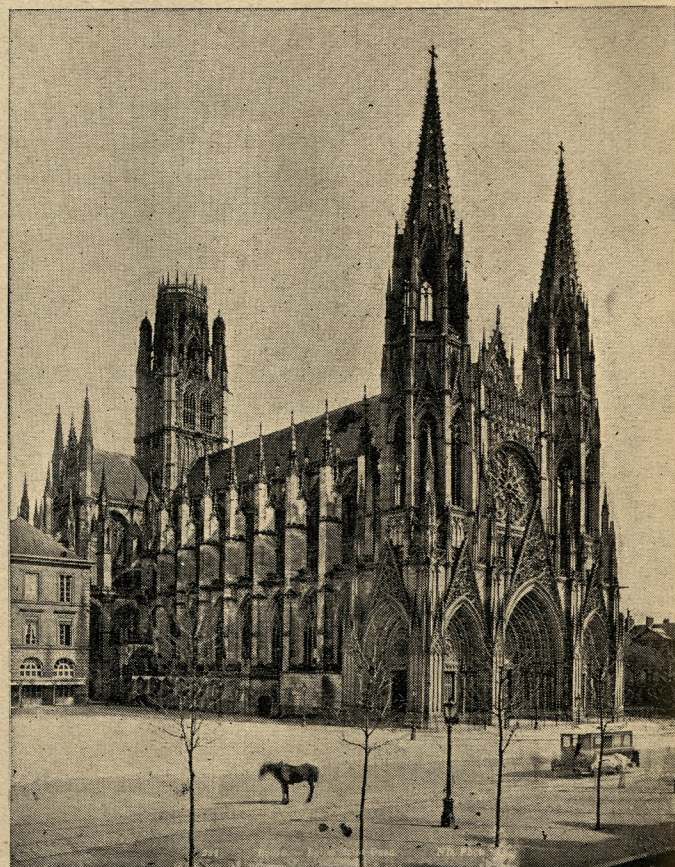
W Rouen, jednocześnie w dwudziestu salach odbywało się dwadzieścia odczytów o nieumiejącej czytać... Nanowo, z różnych punktów oświetlając jej postać, jej rolę, przemawiali przedstawiciele Francji i innych narodów.

Imieniem polskich uniwersytetów głos zabrał profesor Halecki; ksiądz dr. Jakubisiak, w odczycie pod tytułem: „La vocation de Jeanne d'Arc“, raz jeszcze rozwinął ciekawą swą tezę, znaną z licznych prac naszego uczonego. Ksiądz Jakubisiak staje w obro-

nie indywidualności, w epoce zmaterjalizowania i zmechanizowania świata bierze w opiekę jednostkę, jej niezależność od społeczeństwa, czasu i miejsca, podnosząc samodzielność jej powołania. Udowodnił to na Joannie d'Arc w sposób bardzo przekonujący, tak, że wśród wielu przemówień, jego stanowisko zwróciło uwagę i z zainteresowaniem śledzono, jak prelegent zbijał teorie historyków, socjologów i psychologów, którzy wystąpienie Joanny tłumaczyć chcą środowiskiem rodzinnym, socjalnym, etnicznym i historycznym, patrzą na nią, jako na wykwit bądź mistycyzmu średniowiecznego, bądź zbliżającego się z Reformacją buntu przeciw kościołowi; jako wyraz rasy, zbudzonego sumienia narodowego, jako narzędzie, które epoka obrała sobie, aby móc się wypowiedzieć w całej pełni.

Ksiądz dr. Jakubisiak podnosi, iż rodzina nie tylko nie była przychylna jej misji, ale wręcz wroga; że Francja jeśli nie czuła się dobrze w angielskiej niewoli, to z niewolą tą była pogodzona; że prawy król daleki był od świadomości swych praw, skoro ukoronowany w Reims przez Joannę, nie dał jej należytej pomocy, aby mogła zająć Paryż.

— Joanna — dowodzi — nie jest związana niczem innym, tylko powierzonym przez Boga zada-



Rouen. Kościół Saint-Ouen.

niem. Wszystko, co czyni, czynić musi z Jego jedynie nakazu; los jej został zapisany w księdze niebieskiej, której żaden klerk, najbardziej biegły w piśmie, nigdy nie czytał. Nawet nie wie, czy jest w stanie łaski: „Jeśli w niej nie jestem, oby mi ją Bóg dał; jeśli w niej jestem, oby Bóg mnie w niej zachował!”

Sami sędziowie zarzucają skazanej, że z własnego natchnienia, bez woli rodziców, bez porady z Kościołem, działała. Tylko Boga kusila, prosząc o to, o co człowiekowi prosić nie wolno.

Przejdźmy przez Rouen drogą cierpień Joanny.

Po wzięciu do niewoli Dziewicy Orleańskiej, Anglicy osadzili ją w wieży „Ku Polom”. Tu spędziła dnie smutku, ale i dnie chwały. Mężny opór torturom stawiała jej dusza i stawiało jej ciało — nie wyrzekła się swej misji, tylko w przeczuciu przyszłej słabości przepowiedziała, że jeśli kiedykolwiek się zaprze, będzie to jej wydarte siłą. Tak się też wkrótce stało.

Sąd odbył się na cmentarzu, przylegającym do kościoła Saint Ouen, jednego z licznych w Rouen domów Bożych ze szkła i kamiennych koronek. Scena teatralnie była pomyślana. Pięćset dzwonów biło razem w górze, w wiosennym słońcu; na białej wieży zawisła kamienna korona normandzka, wokół groby, zimne, ale nie tak straszliwie, wężowo zimne, jak podstępne serca sędziów. Wśród żalobnych drzew cyprysowych postawiono dwie trybuny, obleczone flandryjskim purpurowym sukniem; na jednej z nich w szkarłatnych szatach zasiedli inkwizytorzy, na drugiej — Joanna w otoczeniu skrybów, chwytających każde jej słowo, wybladła, wynędzniała i już prawie bez życia. I jak jej biedne, później święte, serce ostać się mogło boleści, gdy biskup Cauchon — więc przedstawiciel kościoła i nie Anglik — wskazując na kata, mówił: „Joanno, Joanno, lituję się nad tobą”, a chór gregorjański wzywał ją wspólną prośbą: „Joanno, odwołaj, odwołaj!”.

Odwołała bohaterstwo swych czynów i wyrzekła się swej w nie wiary.

Pomimo to spalili, aby w pół wieku potem przyznać się: „Spaliliśmy świętą”.

Na starym rynku, na wysokim stosie, o majowym poranku.

Gdy wstępowała na pęk chróstu, gałązka powoju zaplątała się między jej palce. Ginąca dziewica, z tą miłością macierzyńską, jaką miała do kwiatów, dzieci i ludzi, podniosła fiołkowe dzwoneczki i prosiła, by je zbawić od śmierci. Po paru godzinach wąż roślina zwiędła za guzikiem krwawego kaftana kata, a dziewica była zbawiona w ogniu. Serce jej ostało się płomieniom, jak pamięć jej ostała się wiekom.

Na placu, gdzie przesady, głupota i złość ludzka złożyły ofiarę miłości, stoją halle. Na jednej z nich



Rzeźba renesansowa, według tradycji przedstawiająca głowę Joanny d'Arc.

znajduje się kamienna tablica z planem miejsca. Czerwoną farbą oznaczono, co wówczas tu było, a czarną — co dziś jest.

Powietrze wstrętne, cuchną ryby, zgniłe jarzyny, a w rynsztokach płynie ohydna woda.

Dopiero obecnie, w związku z uroczystościami, Rouen — naśladowując wieczny ogień na cześć Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Triumfalnym — dla upamiętnienia stosu Joanny d'Arc, na miejscu, gdzie została spalona, wzniosło pomnik, a mer miasta, w obliczu licznych gości rozniecił płomień, który płonąć ma na wieki.

29 maja, w dniu śmierci o 12-tej (przypuszczalnej godzinie skonu), wszystkie dzwony Francji wielkim zapłakały głosem. Cały Paryż odezwał się spżowym dźwiękiem. Zakolysał się bourdon Notre Dame — na doniosłe jedynie bijący święta — głuchem, jak dalekiego działa, echem chcąc inne zwyciężyć. Zwyciężył, ale nie zdołał zapanować nad głośniejszym nawet od niego, zbiorowym gwarem miasta. Szkoda, że choć na jedną chwilę, przedtem lub potem, jak się to dzieje 11-go listopada, nie zatrzymało się życie. Widocznie jednak westchnienie ciszy jest największą ofiarą, jaką dzisiejszy dzień krzyku i ruchu złożyć może umarłym.

Aura Wyleżyńska.



OD JAMU DO KRYZYSU FINANSOWEGO

Były w tych dniach, jak wiadomo, upały. Masło w tym czasie jest zawsze niejadalne. Widzę w sklepie ładne, małe puszczyki z jamem, jednej z pierwszorzędnym firm. Cena puszczyki? — Złoty pięćdziesiąt. Niema co mówić, jam jest doskonały, ale ilość minimalna: dobra łyżka stołowa, czyli 10 deka, 12 najwyżej.

Dlaczego?

Próbuję obliczyć koszt; zapewne, nie prowadzę fabryki konserw i mogą w moim rachunku być błędy, sądzą jednak, że na zasadzie prawdopodobieństwa można zestawzić rachunek w przybliżeniu dokładny.

Dla fabrykanta-hurtownika kilogram owoców nie może wypadać więcej, niż zł. 1,50 przeciętnie, w detalu bowiem w sklepach owoce droższe płacimy zł. 2 — 2,50 za kilo, wtedy, gdy są drogie. Cukier zł. 1,60 (w hurcie napewno nieco mniej).

Surowiec kosztuje więc zł. 3,10. Z tych dwóch kilogramów surowca wychodzi 1 kg. 40 do 50 deka jamu. Licząc koszty produkcji: robociznę, lokal, podatki, świadczenia społeczne drugie tyle, mamy zł. 6,20 za *półtora kilograma*, kilogram zaś sprzedaje się po 12 złotych!

Zapytałam o to kogoś, kto zna dobrze te sprawy; odpowiedział mi, że są takie anomalje. W Gdańsku np. dwukilowa puszczyka konserw jarzynowych kosztuje zł. 1,70, te same konserwy sprzedaje się u nas po zł. 2,20 *pół kilo!*

Żeby to było z jednym jamem, pół biedy; można go sobie zrobić w domu, choć nie dla wszystkich to jest możliwe i celowe; bo, o ile dla dużej rodziny, zwłaszcza na wsi, przy własnych owocach, to się opłaca, o tyle dla osób samotnych, na niewielkie ilości, produkcja masowa, fabryczna powinna być, podług wszelkich zasad logiki, tańsza.

Ale tak jest, niestety, z wielu rzeczami. Ogromna ilość naszych produktów, wyrobów i towarów jest droga, droga i jeszcze raz droga. Cały nasz handel i przemysł nastawiony jest na drogą produkcję i, co za tem idzie, na duży zysk przy małym obrocie.

Nie mogę obliczać taniej, muszę przewidzieć, że towar będzie leżał dłuższy czas, muszę liczyć na zamortyzowanie kapitału. Jest to stała odpowiedź wytwórców.

Nikt nie chce uznać, że towar tańszy pójdzie prędzej i że nigdzie nie chcą wycofywać kapitału zakładowego tak szybko, jak w Polsce. Te pojęcia nie czepiają się niczyjej głowy.

Przyczyną tego systemu myślenia stał się nasz długotrwały stosunek z Rosją. Polska była przez sto lat uprzemysłowionem gubernatorstwem wielkiego, nieuprzemysłowionego państwa, które spotrzebowywało wszystko, brało wszystko, bez granic celnych i żadnych utrudnień, i płaciło każdą cenę.

Potem przyszyły czasy wojny, inflacji i spekulacji, które podniosły procenty handlowe do cyfr astronomicznych. Gdy przed wojną uczciwy zysk wynosił 10, a świetny, przy wyjątkowej koniunkturze, 50 procent, to potem ludzie przyzwyczaili się mnożyć te sumy conajmniej dziesięciokrotnie.

Kraje Europy zachodniej i Ameryka przechodzą dziś ciężki kryzys — nadprodukcji: wyrobiono za wiele towarów, rynki są nasycone, ludzie też, nie chcą

kupować. U nas jest inaczej: nadprodukcji niema, potrzeby są, kupowanoby, tylko wszystko za drogo kosztuje.

Jak może się ubrać np. urzędnik, zarabiający 300 — 400 zł. miesięcznie, skoro przyzwoity garnitur wynosi jego miesięczną pensję? To samo jest z obuwem, bielizną, ze wszystkim.

Wszędzie na świecie są rzeczy drogie i drogie sklepy, obliczone na najbogatszą klientelę; ale wszędzie obok nich mamy masową produkcję tania, zastosowaną do możliwości przeciętnych zarobków. Wskutek tego ludzie nawet niezamożni mogą kupić parę garniturów, parę par obuwia, parę sukien rocznie, lub nawet na każdy sezon; u nas chodzi się latami w jednym, sztuka i przerabia; kupiec sprzedaje mało, bo bierze drogo, a bierze drogo, gdyż sprzedaje mało, wytwarza się błędne koło.

Że wyjście z tego błędnego koła jest, że można obliczać inaczej i mieć skutek tych obliczeń, mamy tego różne przykłady. Są firmy, które wprowadziły sprzedaż towarów i wyrobów tanich; firmy te, pomimo kryzysu i ciężkich czasów, mają olbrzymi napływ klientów. Jest i konkurencja obca, jak np. włoskie lody. Przez szereg lat cukiernie warszawskie *nie mogły* sprzedawać lodów inaczej, jak 1,50 — 2 zł. za porcję, i oto z chwilą otwarcia „gelaterji“ włoskich, zniżono jakoś te ceny do połowy i więcej! Okazuje się, że było można!

Wobec naszego kryzysu finansowego mówi się wiele o oszczędności, o *ograniczaniu nabywania*. Oszczędność, zapewne, jest rzeczą chwalebna; ale czy zastanowiliśmy się nad tem, że krańcowe ograniczanie się w nabywaniu wszystkich przedmiotów zwiększa bezrobocie i kryzys? Nie o to chodzi, aby nie kupować, przeciwnie: kupować, aby szły sklepy i fabryki, aby wzrastała produkcja. Jesteśmy, w przeciwieństwie do innych krajów, w tem, szczęśliwym narazie położeniu, że katastrofą naszą nie jest zmniejszenie eksportu, jak np. Anglii, której fabryki lancasterskie eksportowały na cały Wschód, a dziś eksport ten ustał. Nie, Polska tak, jak nie potrzebuje importu surowców, węgla, zboża i t. p. i może wyżywić się z tego, co produkuje u siebie, tak samo może spożytkować to, co produkuje. Nie znaczy to, żeby wyrzekać się wywozu, ale znaczy, że nie jest on sprawą życia i śmierci naszego przemysłu.

Zato sprawą taką jest ruch i ożywienie wewnętrzne, siła nabywca społeczeństwa, ta zaś istnieć może o tyle, o ile kalkulacja cen odpowiada możliwości nabywców. O ile możliwość tę przewyższa, nabywców nie będzie i na to nikt nie poradzi.

Ceny muszą spaść, dzisiejsze, nadmiernie wysoko obliczone zyski, które w rezultacie, przy małych obrotach, zawsze zawodzą, muszą zostać przekalkulowane, a wtedy obroty wzrosną. Trzeba więc żądać tego spadku cen, trzeba dochodzić przyczyn nadmiernej kalkulacji, popierać wytwórców tanich, domagać się tanich towarów; trzeba o tem mówić i pisać, wyjaśniając szczegóły, różnice i przyczyny. Zadanie to jest znów zadaniem kobiet, które, jak to już tyle razy dowiedziono, załatwiają trzy czwarte zakupów dla siebie i rodziny.

N. J.



Z TEATRÓW

TEATR LETNI.

„Dzieje Salonu“ — komedia w 3 aktach Kazimierza Wroczyńskiego.

Trudno o sztukę bardziej ponurą i przygnębiającą w nastroju, która by jednocześnie wywoływała tak bardzo krzepiące refleksje. Co jest źródłem tych refleksyj? Czas. Dziesięć lat temu „Dzieje Salonu“ były groźnym ostrzeżeniem przed supremacją paskarskiego chamstwa, — dzisiaj są już tylko mało dostęgalną bliźną po dawno zagojonej ranie.

Patrząc na panoszenie się rozmaitych Wyciorów i Fiutów, widz myśli sobie z ulgą: „Jak to dobrze, że to wszystko minęło, jak zły sen“. Piekielna huśtawka, w której to, co było na górze, znalazło się raptem na dole, w tej formie, kto wie, czy nie najdokuczliwszej i najbardziej upokarzającej, już się skończyła. Ćwiczymy się teraz inaczej w sztuce zdobywania równowagi, ale o tych nowych systemach jeszcze nikt komedji nie napisał.

„Dziejom salonu“, jak każdej aktualnej satyrze, pisanej pod bezpośrednim wpływem oburzenia i poczucia doraźnej krzywdy, czas stępił ostrze i obrócił w nieco odmiennym od pierwotnego kierunku. W ciągu tych dziesięciu lat inteligencja przeboiała likwidację „salonu“, dojrzała do twórczej pracy, wyrosła ze ślamazarnej beznadności i biadoleń na temat „dawnych, dobrych czasów“. Skazani na zagładę Marnicy budzą w nas raczej irytację, niż współczucie. Są to rycerze, którzy umieją tylko ginąć, nie zwyciężać; ich etyka jest negatywną etyką biernego oporu, nie czynnej walki.

I tu może tkwi słaba strona komedji, jeśli chodzi o jej wykładnik ideowy. Natomiast strona techniczna jest świetna. Typy są żywe, mocno osadzone w tle, sytuacje chwytane na gorącym uczynku. Postacie ujemne wyraźniej są zarysowane i przedstawiają wdzięczniejsze pole dla gry aktorskiej.

Orwid i Chaveau, jako para Wyciorów, szaleli w żywiej łowej orgji charakterystycznej. Socha w roli zakochanego chama był może zbyt bohaterski. Staszkowski stworzył małe arcydzieło precyzji z drugoplanowej postaci Mokszy-Mokszeńskiego. Gellówna doskonale wypełniała puste miejsca w sztuce egzaltowaniem wścibstwem „humanitarnej“ dziewicy. Całość pod sprężystą reżyserją Chaberskiego miała właściwe tempo. S. P. O.

TEATR NARODOWY.

„Raz, dwa, trzy!“... — komedia w jednym akcie Franciszka Molnara, przekład Tadeusza Kończyca, reżyserja Aleksandra Zelwerowicza, dekoracja W. Drabika.

„Komedia o człowieku, który redagował gazetę rolniczą“ — według Marka Twaina nap. G. Timmory, tłumaczył J. Nowicki.

Jesteśmy świadkami przedziwnego kontredansu repertuarowego. „Dzieje salonu“, komedję poważną, a nawet ponurą, mającą poważne tradycje sceniczne, gra się w Letnim, natomiast typowe groteski daje się do Narodowego. Ludzie smućą się tam, gdzie powinni się bawić, a baraszkują tam, skąd zwykle przemawiał patos, sentyment lub problemat.

„Komedia o człowieku, który redagował gazetę rolniczą“ — to satyra na triumf nieuctwa, blagi, tupetu i autoreklamy nad skromną, ale pozbawioną sprytu życiowego, fachowością.

Temat zawsze aktualny, potraktowany z amerykańskim prymitywnym humorem, Reżyserja wzbogaciła i podkreśliła groteskowość tego humoru całym szeregiem hulaśliwych, jarmarcznych i cyrkowych efektów (scena z warjatem, ucharakteryzowanym na rudego szympansa).

Rolę przypadkowego redaktora gazety rolniczej Kurnakowicz konsekwentnie poprowadził po linii nonsensu, właściwą sobie żywiołością budząc ataki śmiechu u widzów. Reszta aktorów stanowiła tło groteski.

Rekord wytrzymałości zdobył Zelwerowicz w sztuce Molnara „Raz, dwa, trzy!“. Półtorej godziny gadał bez przerwy i z szofera Nogi wygadał... hrabiego Dubois-Schottenberg, honorowego konsula, gentlemana całą gębą. Jak się czuł po tym eksperymencie — nie wiemy; sam jego widok i gorączkowe tempo męczyło, jak maligna. Wyszliśmy z przedstawienia, jak z łaźni. I pomimo całego podziwu dla sprawności aktorskiej Zelwerowicza, wkraczającej w dziedzinę żonglerstwa, można mieć poważne zastrzeżenia co do psychologicznego ujęcia postaci Norrisona. „Norrison — informuje nas Molnar — musi wydobyć zawrotną szybkość nie tylko zewnętrzną, ale i wewnętrzną. Musi wszystko robić z nadludzką zręcznością czarodzieja, a przytem musi być pełen spokoju, pewności, przytomności umysłu i doskonałości“.

Otóż Zelwerowicz rozwija wprawdzie „nadeludzką zręczność“, ale bynajmniej nie imponuje spokojem. Jego Norrison jest raczej typem nerwowca, który mówi za dużo i niepotrzebnie powtarza te same wyrazy, jak człowiek, ogarnięty psychozą pośpiechu. Wskutek tego sam nieraz sprowadza niepożądane zamieszanie do swego teatrzyku żywych marjonetek, puszcanych w ruch... potęgą pieniądza. Z pośród tych marjonetek twarze ludzkie mieli tylko Ola Leszczyńska i Hnydziński, jako para zakochanych małżonków. Reszta artystów z powodzeniem odgrywała rolę zmechanizowanych „robotów“. S. P. O.

PRZEDSTAWIENIE „WZORÓWKI“.

W niedzielę, 31 maja, odbyły się w teatrze „Ateneum“ produkcje „Wzorówki“ — ogniska Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci. Ognisko to, którego kierowniczką jest p. Olszewska, skupia około 30-orga dzieci, które w ciągu całego roku spędzają tam na zabawie i nauce po trzy godziny dziennie.. Dzieci rekrutują się ze sfer proletarjackich, często zpośród rodzin bezrobotnych. Jest to element przeważnie wynędzniały, z trudem jako tako wyrastający w warunkach jaknajmniej sprzyjających.

Tembardziej uderzające są piękne wyniki pracy artystycznej, które nam w Ateneum pokazano. Na program składały się piosenki, recytacje zespołowe, oraz produkcje rytmiczne. Te ostatnie zwłaszcza muszą napęlić widza prostopodziwem. Dzieci wykonują cały szereg ćwiczeń zespołowych, uderzających nie tylko przez swe autonomiczne pedagogiczne wartości, ale dających nawet najbardziej wymagającym oczom prawdziwie estetyczne zadowolenie. Takie, doskonale pomyślane, „Koniki“ — zabawa rytmiczna — operują już złożonymi motywami rytmicznymi i świadczą o olbrzymim wysiłku, włożonym w umuzykalnienie dzieci. Bardzo efektowny, a prosty „Taniec marynarzy“ i „Marsz radosny“ zawierają przytem dużą dozę ekspresji, podanej zresztą w tej skali, która się właśnie do psychiki dziecka nadaje.

Wykonaniu piosenek, głosowo b. dobremu, możnaby tylko zarzucić niewydobycie możliwości inscenizacyjnych. Tem

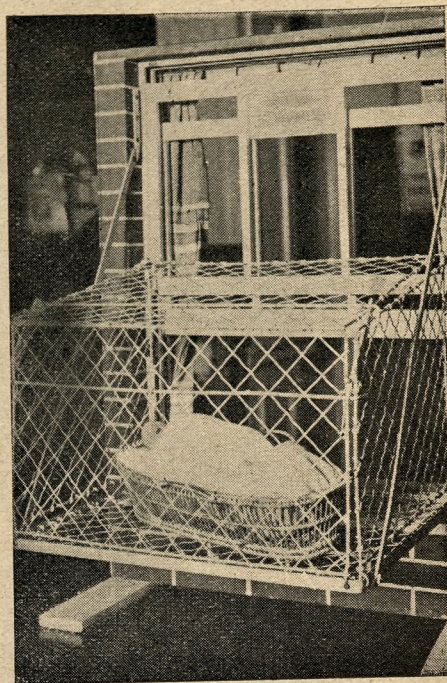
Zabierz radjo na letnisko —
Będiesz miał stolicę blisko.

bardziej szkoda, że większość „śpiewanek“ aż prosiła się o podkreślenie ruchem, gestem, odpowiednim podziałem na głosy, dźwiękowego, czy też wzruszającego tekstu.

Ten zarzut w silniejszym jeszcze stopniu stosuje się do recytacji. Dzieci wygłaszają cały szereg — bardzo zresztą umiejętnie i starannie dobranych wierszy — jednym, nieodróżnicowanym chórem, jednotonowo, monotonna. O jakimś wprowadzeniu akcji, mimiki, czy choćby tylko o stopniowaniu akcentów — niema mowy. Brak ten specjalnie uderzał np. przy recytacji wiersza Szelburg - Zarembiny: „Samolot“ wiersza, świetnie nadającego się do prymitywnej choćby inscenizacji. A takie pewne zdynamizowanie, uaktywnienie, jest wszakże tak niezmiernie ważne nie tylko ze względów czysto artystycznych, ale i pedagogicznych.

W każdym razie wyniki pracy we „Wzorówce“ p. Olszewskiej są imponujące. Należy tylko życzyć tej doskonałej placówce dalszego pięknego rozwoju.

Śpiew i rytmikę prowadzi we „Wzorówce“ p. Marja Cukierówna. l. j.



Tak się dzidzius wygrzewa.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

KURSY SPÓŁDZIELCZE DLA KOBIET.

W czasie od 29-go czerwca do 12-go lipca Związek Spółdzielni Spożywców Rzeczypospolitej Polskiej „Społem“ w Warszawie urządza Kurs dla Działaczek Spółdzielczych.

Kurs ten przeznaczony jest dla kobiet, które pragną wziąć udział w życiu swej spółdzielni, czy to jako pracownice, czy jako czynne członkinie. Uwzględnione będą następujące działy: samokształcenie, spółdzielczość, racjonalizacja gospodarstwa domowego i warunki pracy zarobkowej kobiet. Przewidziane zwiedzenie instytucyj spółdzielczych, oświatowych i opieki nad matką i dzieckiem.

Koszt wyniesie 5 zł. wpisowego i koszty utrzymania około 60 do 65 zł., oprócz kosztów podróży.

Wszelkich informacji udziela Sekretarjat Kursów w Warszawie: ul. Grażyny 13, Mokotów, Związek Spółdzielni Spożywców Rz. P.

POLKA ŚWIETNĄ STENOTYPISTKĄ.

Panna Alicja Drozdowska, polka, zamieszkała w Stanach Zjednoczonych, uzyskała pierwszą nagrodę szybkości pisania na maszynie, na konkursie stenotypistek w Hartford. P. Drozdowska pisze 60 słów na minutę, a więc tak, jak najszybsze mistrzynię.

ŚLONECZNA KĄPIEL ZA OKNEM.

Kto nie ma ogródka, tarasu, ani nawet balkonu, a pragnie, aby niemowlę było stale na słońcu, może urządzić sobie

taką „plażę“ zaokienną, jaką pokazuje rycina. Wielkie, mocne haki i podpórki żelazne podtrzymują ażurową klateczkę, w której umieszcza się leciutki koszyczek z posłaniem dla malca.

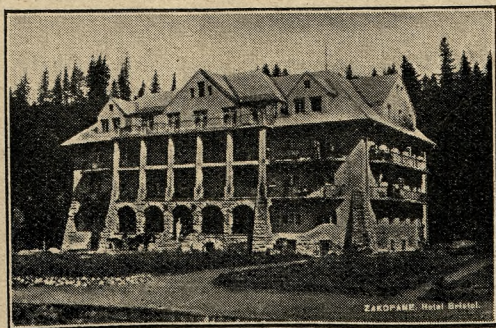
Zagranicą instalacje takie zaczynają wchodzić w użycie tak powszechnie, jak balkonowe skrzynki do kwiatów. Z chwilą, gdy klateczka nie jest już potrzebna, składa się, jak każdy inny składany mebel.

BAWEŁNA CUDZA, LEN WŁASNY.

Wiele pisało się i mówiło o akcji bawełnianej w Polsce.

Dla wzmocnienia naszej wytwórczości, zalewanej przez obce materiały wełniane i jedwabne, trzeba było podnieść fabrykację przetworów bawełny: markizety, perkalu, opalu. Większe zapotrzebowanie materiałów bawełnianych zmniejszyć może bezrobocie fabryk oraz import, czyli uzdrowia przemysł i bilans.

Trzeba jednak zrobić w tym kierunku jeszcze coś więcej. Oto wprawdzie przerabianie bawełny jest użytkowaniem sił krajowych, ale nie zużytkowuje krajowego surowca: bawełny nie mamy. Przy używaniu tkanin bawełnianych, zmniejszamy wprawdzie przywóz wełny i jedwabi, ale zwiększamy import bawełny (import ten wynosi pół miljarde rocznie i jest jedną z głównych pozycji ujemnych naszego bilansu). Prawdziwie racjonalnym lekarstwem byłoby więc zastąpienie bawełny lnem, którego produkcja jest u nas duża, a mogłaby być jeszcze większa, uprawiana na dużą skalę, zamiast zboża, którego dziś wszę-



ZAKOPANE Perła uzdrowisk polskich — daje emocjonujące widoki Tatr, tężyznę ducha i ciała, spokój, wypoczynek i zdrowie — a więc jedźmy wszyscy do Zakopanego.

BRISTOL Najtańszy luksusowy reprezentacyjny hotel-pensjonat w Zakopanem — daje wygody ogniska domowego, a w sezonach głównych rozrywki towarzyskie i zabawę. W okresach wiosennym i jesiennym ceny niższe od 30—50%. Tel. 315.

dzie jest za dużo. Koszt produkcji wyrobów lnianych jest dziś wprawdzie jeszcze większy, niż koszt przerobu bawełny, ale zato materiały lniane są *dwie i trzy razy mocniejsze* od bawełnianych i w tym samym stosunku znoszą pranie.

Tkaniny lniane są już na pierwszym planie, jako nowoczesne pokrycia na meble, jako makaty, wyrabiane zarówno przez przemysł ludowy, jak i przez pioniera nowoczesnej sztuki stosowanej w Polsce, wytwórnię „Ład“; możnaby więc tak samo „wprowadzić“ len do bielizny i ubrań. Fabryki nasze w Łodzi, Bielsku, Częstochowie mogłyby napewno przystosować się do przerabiania lnu. Opale i batysty można wyrabiać doskonale z lnu i trzeba je nosić.

Sprawą ułatwienia produkcji lnu na dużą skalę, przystosowania fabryk do przerabiania go i t. p. zająć się muszą czynniki miarodajne, ministerstwa rolnictwa oraz przemysłu i handlu; o stronie praktycznej i estetycznej wyrobów pomyśleć muszą fabrykanci, kupcy i rysownicy; od kobiet jednak będzie zależało powodzenie lnianych materiałów, to musi być zapewnione.

A TO JEST „MĘSKA“ LOGIKA.

W czasie wielkiej wystawy kolonjalnej w Paryżu odbędzie się także Kongres Stanów generalnych kobiecych, tego nieoficjalnego parlamentu francuzek. Myślą przewodnią połączenia obrad Stanów z wystawą było uwypuklenie działalności kobiet w kolonjach i obmyślenie linii wytycznych dalszej pracy.

Program obrad Kongresu wykazuje dowodnie, że kobiety francuskie, żyjące zdala od ojczyzny, w jej kolonjach, zajmują się najżywotniejszymi sprawami miejscowymi: organizacją pomocy społecznej i higieny, dostosowaniem metod wychowania i kształcenia młodzieży do warunków miejscowych i psychiki krajowców, opieką nad matką i dzieckiem. Specjalne referaty poświęcono również roli kobiet-lekarek, nadzwyczaj ważnej z powodu gorącego klimatu i fatalnej higieny mieszkańców w większości kolonij.

Specjalnym staraniem działaczki francuskie otaczają kobiety, interesując się ich położeniem prawnym, stanowiskiem w rodzinie i warunkami ekonomicznymi, jak również sytuacją dzieci z małżeństw mieszanych.

Wśród francuzek w kolonjach znajduje się też wiele członkiń licznych misyj, wszystkich wyznań, prowadzących pracę religijną, są wybitne działaczki na wszystkich polach pracy.

Najwybitniejsi przedstawiciele władz kolonialnych, uczeni i podróżnicy przesłali pod adresem prezydium Stanów wyrazy uznania i gotowości współdziałania. W liczbie ich znajdują się gubernatorzy Algerji, Indo Chin, Afryki Zachodniej i podzwrotnikowej, dyrektorzy szkół i instytucji kolonialnych.

Wszystkie te władze korzystają ze współpracy kobiet, oddają im pochwały i są najgłębiej przekonane o pożyteczności ich pracy. No, i wszyscy zgodnie... sprzeciwiają się nadaniu im praw politycznych!

LEKARSTWO NA ZŁE JEZYKI.

Już znakomity satyryk epoki stanisławowskiej, Naruszewicz, złośliwie wspominał o niewieście, która „cudzą sławę językiem omiata“! Trafia się to i niektórym mężczyznom, ale teraz przyjdzie, zdaje się, na jedne i na drugich kreska. Komisja Kodyfikacyjna, opracowująca nowy, polski zunifikowany kodeks karny, podała następujący projekt kary w wypadku zniesławienia: „ *kto zarzuca innej osobie postępowanie lub właściwości, mogące poniżyć ją w opinii publicznej, lub narazić na utratę zaufania, potrzebnego dla danego stanowiska lub zawodu, ulega karze aresztu do dwóch lat*“ (art. 247). Jest to postanowienie, przypominające kodeks angielski, który również nakłada wysoką karę w tym wypadku.

Prawdziwa okropność! Nie będzie nawet można powiedzieć: ależ ona wygląda, jak koczokodan! (o co przed dwoma laty odbył się prawie śmiertelny pojedynek między mężami obrażającej i obrażonej). Nie będzie też bezpiecznie podawać w wątpliwość dobrą sławę swojej znajomej, choćby dużo tańczyła i flirtowała na balu, czy dancingu.

Dobrze, ale jeśli zniesławiający ma słuszość?

Prawodawca angielski, a obecnie i polski, odpowiada: nie, nie ma słuszości. Każdy powinien być stróżem czci *własnej*, do cudzej mu nic. I o ile pociągnięty do odpowiedzialności plotkarz zechce dowodzić prawdy, wolno mu to będzie jedynie wtedy, gdy działa *w obronie interesu publicznego*, lub bardzo ważnego prywatnego. Dla przyjemności powtarzania wersyj, domysłów, lub spostrzeżeń własnych, czy cudzych — nie!

Dura lex, sed lex. Daj Boże, aby weszło ono w życie jak najprędzej. Ani pojedynki z jednej, ani wszelkie reformy kodeksu honorowego z drugiej strony nie będą takim lekarstwem na złe i lekkomyślne języki, jak to prawo. Tak zwana „opinia publiczna“, ujęta w formę gawęd i plotek, nikogo nie poprawi, gdyż kończy najczęściej na gadaninie, krzywdzi zato niezliczone razy. W Anglii, jak to powiedziano powyżej, kodeks zabrania surowo rozgłaszania o kimś ubliżających wieści, a pomimo tego, jeśli jakaś lady lub gentleman postępują niewłaściwie, ta milcząca opinia umie doskonale dać im to poznać, a nawet usunąć ich zupełnie z towarzystwa, do którego się nie dostosowali.

Podnieść tu też należy, że Liga reformy kodeksu honorowego, która pierwsza uznała równą odpowiedzialność honorową kobiet, postawiła również w swym programie dążenie do obostżenia kary za zniesławienie. Obecnie propaganda ta wchodzi w stan realizacji.



Jak miło na wodzie!

NASZA MÓWNIKA

Jak zaoszczędzić? (Odpowiedź na artykuł Pani Elżbiety p. t. „Piętnaście procent).

Naturalnie, że nam właśnie, paniom domu, trzeba coś radzić i zaradzić na tę tak krzywdzącą nas obniżkę płac. Nie może lament, musimy robić tak, aby było dobrze. Ale jak? Szan. Pani Elżbieta radzi, aby oddalić służącą. Ale co ma zrobić matka, mająca troje, lub więcej dzieci? Jestem w tem położeniu, że mam troje dzieci (najmłodsze 11 miesięczne). Na prowincji niema wodociągów, niema gazu, po każdą rzecz trzeba iść do miasta. Mam dwie służące, oprócz tego dziewczynę do noszenia wody i węgla, i praczkę, bo moja kucharka prac nie chce.

Przy takim składzie służby, wstaję o 5-tej rano i z nianią sprzątam mieszkanie, kucharka jest w tym czasie z dzieckiem w ogrodzie. O godzinie 7-ej idę do miasta, kucharka zaś gotuje śniadanie na primusie. Niania bawi dziecko i pomaga starszym dzieciom, które wstają.

O 7 i pół wracam z miastem, wydaję śniadanie, mąż i starsza córka idą do szkoły. Niania kończy sprzątanie u dzieci i u ojca mego, ja myję się i ubieram, a kucharka bawi dziecko, które około 9-tej idzie spać. O 10-tej jestem ubrana i idę na tennis, lub po sprawunki do miasta. Najczęściej też muszę doglądać gotowania obiadu, bo słodka kucharcia lubi wszystko wysmażać do dziesiątej skóry i zupełnie ignoruje nowe metody gotowania.

Najmłodsze dziecko w tym czasie śpi, potem wstaje, myje się i idzie z nianią na spacer.

Moja 6-cio letnia córeczka przez cały ten czas bawi się sama w domu, lub na dworze, z innymi dziećmi. Oczywiście, że nieraz towarzystwo ma niezbyt wyszukane.

O godz. 1 jest obiad. Mały znowu zasypia. Śpi do 2-ej. Potem idzie na dwór z kucharką, a niania myje naczynie. Ja robię lekcje ze starszą córką, szyję, poświęcam chwilę czasu młodszej córce. Wyjątkowo tylko śpiam po obiedzie. O 5-tej wydaję podwieczorek.

Niania, po umyciu naczyń, ceruje pończochy lub pierze pieluszki i dziecinne rzeczy. Po podwieczorku idę na przechadzkę, lub nabożeństwo majowe, a najczęściej w domu załatwiam korespondencję, lub coś szyję. Niania w tym czasie bawi dziecko, kucharka przygotowuje do kolacji.

O 7-ej kolacja. Potem dzieci się myją, mówię z nimi pacierz, usypiam małego. W kuchni myją naczynia, prasują; jeśli to środa lub sobota, to szorują podłogę. Niania czyści primus, kocioł i t. p. O 9-tej, a czasem i później, zalega cisza, zajęcia są względnie ukończone. Służące sobie coś naprawiają, piszą; ja obmyślam plan na dzień następny, czytam, ale zwykle jestem tak zmęczona, że około 11 już muszę się położyć. Nieraz dziecko w nocy budzi.

I jakże tu zaoszczędzić i oddalić służbę, jak sobie sama dam radę? Przecież cały dzień nie spoczywam! Cóż mi doradzi kochana pani Elżbieta? Zmienić służbę na lepszą, wydatniejszą? Będzie też droższa, a za żadne pieniądze nie kupię przywiązania i miłości, jaką mają moje służące dla dzieci, szczególnie dla maleństwa. A przecież to chyba najważniejsze, jeśli o dziecko mogę być spokojna. Muszę nieraz wyjść, czy wyjechać, a dziecko zostawić.

Czuję jednak ze strachem, że tak na dalszą metę być nie może, że trzeba będzie to zmienić, bo utrzymanie dwu służących jest za ciężkie na nasz budżet, nie licząc pensji, podarków i nadzwyczajnych dodatków.

Jakże więc zrobić, aby te sprzeczności pogodzić, aby budżet nie szwankował i sama pani domu nie zamęczyła się na śmierć? Proszę o laskawą radę. A. K. — Gródek Jagielloński.

O polskość Podola (w odpowiedzi moim oponentom).

Cieszy mię niezmiernie, że moje skromne słowa znalazły oddźwięk w sferach nauczycielskich.

Pani Wanda z Podola w „Głosie Nauczycielskim“ z dn. 25.IV.31 r. powiada: „z jego trudów i znoju i z jego krzywdy nawet Polska potężnieć będzie“!

Czyżby tylko sfera nauczycielska przyczyniła się do potęgi ojczyzny naszej?

Pani Wanda, jak i pan Grabowski w „Bluszezu“, cytują dużo cyfr, mówiąc o tem, co nauczycielstwo zdziałało w całej Polsce. Nie o to mi chodzi. Przecież wyraźnie napisałam: że polak, uczeń nauczyciela też polaka i z polskiej szkoły *nie umie podpisać się po polsku, tylko po rusku*, to już chyba nie jest pracą dla potęgi ojczyzny!

Przez czas jedenastoletniej pracy nauczycielstwa polskiego, nie widać wpływu jego na język *ojczysty* w tutejszych wsiach. Tak, jak kiedyś, tak i teraz wszyscy mówią między sobą po rusku. Powinniśmy się wstydzić!

Schylam pokornie głowę w dowód czci i uznania przed pracą nauczycielstwa polskiego pod b. zaborami rosyjskim i pruskim, gdzie pod grozą więzień i knuta uczyło się historii i języka ojczystego, czego nie można powiedzieć o pracy nauczycielstwa w b. zaborze austriackim.

Pani Wanda zarzuca mi, że: „siedzę w wysoko oparkanionem podwórku“. Przyznaję, podwórko swe bardzo wysoko oparkaniam, nie chcę widzieć, co się za tym parkaniem dzieje, nawet dzieci swych nie posyłam do tutejszej szkoły, tylko sama je uczę, bo dźwięki mowy obcej na ziemi polskiej są dla mnie zbyt bolesne.

Prawdopodobnie p. Wanda, jak i p. Grabowski, przeczytali moje uwagi zbyt pobieżnie, proszę ich więc jeszcze raz słowa moje przeczytać.

Zaznaczam wyraźnie, że chodzi tu o polskość *wsí podolskiej*, oponenti moi zaś mówią o pracy nauczycielstwa wogóle.

Uwagami mojemu dążyłam i dążę do poprawy obecnego stanu na wsi, a nie do zaostrenia stosunków kastowych i dzielnicowych.

Czy państwo zdają sobie sprawę z tego, że musimy zdobywać każdą chatę wiejską, by mieszkańców jej uświadamiać narodowo? Czy wiemy, ile jest tu, na Kresach, wiosek, straconych dla nas? A czyśmy już zapomnieli o sabotażu?

Nie cyfr nam potrzeba, lecz pracy, i to pracy intensywnej. Możemy brać przykład z ukraińców: ci, choć nie we wszystkich wsiach mają swych nauczycieli, jednak dążą naprzód, zrzeszeni i solidarni. Szczerze radziłabym poznać wieś podolską a pogląd państwa uległby radykalnej zmianie.

Najlogiczniejszą częściowo replikę napisała p. Maryla W.: gdyż jej uczniowie umieją podpisać się po polsku. Daj Boże, by wszyscy nauczyciele kresowi mogli z czystym sumieniem to samo powiedzieć. Wszystkich zatem moich szan. oponentów odsyłam z prośbą o dokładne przeczytanie odpowiedzi p. Maryli W.

Życzyłoby należało, by całe grono nauczycielskie przejęte było takim duchem posłannictwa, jak ta pani.

W mym artykule zachodzi tylko mylna interpretacja wyrażenia „na austriacką modłę“, ponieważ nie koniecznie trzeba było być nauczycielem pod zaborem austriackim by wykonywać swój zawód po linii politycznej danego rządu.

Na zakończenie dodam, podobnie jak p. Maryla W., że tak, jak nie wszędzie są dwory i księża, i nie wszędzie ci ostatni pracą społeczną się zajmują, tak i nie wszyscy, z grona nauczycielskiego sprawę polskości wzięli do serca.

Leonarda z Podola.

DOBRA WRÓŻKA

Nie ma ona powłóczystej szaty, gwiazdy na czole i *czarodziejskiej* laseczki w ręku, ani nie mieszka na szklanej górze w *czarodziejskim* pałacu. Królestwem jej jest skromne mieszkanko w którejś ze zwykłych warszawskich kamienic, a *czarodziejską* laseczką — dwoje pracowitych, niestrudzonych rączek, które potrafią czynić cuda. Jedynym jej podobieństwem do Dobrej Wróżki z bajki będzie niekiedy młodość i uroda, ale jakże niepotrzebne są to atrybuty, pociągające za sobą obowiązek i chęć „wyglądania” obok tysiąca innych obowiązków, które możnaby ująć w mocno aktualnym dzisiaj skrócie — wiązania końca z końcem.

Oh! te dwa końce, wiecznie się rozchodzące, gubiące, nieuchwytnie... ileż rozgoryczenia do życia i świata wywołują one w sercach kobiet! Kobiet wogóle, oczywiście, bo nie w sercach Dobrych Wrózek.

Cudowny dar wszechmocy, który otrzymały one *czarodziejską*, a więc niezbadaną drogą, a któremu po ludzku na imię jest zaradność, otwiera drogę do umiejętnego lawirowania między rozrzutnością a skąpstwem, między bezradnym opuszczeniem rąk, a lekkomyślną brawurą, między... Ale pocóż będziemy się bawili w suche formuły, czy też w literackie dytyramby? „Instytucja” dobrych wrózek jest czemś żywym i oddawna istniejącym, tylko że dopiero teraz zwrócono na nią uwagę i zapytano:

— Hokus pokus, Dobra Wróżko! powiedz nam, jak robisz swoje cuda?

Ale niełatwa to rzecz powiedzieć, skoro przed chwilą odnalazło się dopiero swoje własne cudotwórstwo.

Najważniejsze — jakimi drogami to idzie.

Muszę się tutaj powołać na wnikliwy artykuł pani Stefanji Podhorskiej-Okołów, zamieszczony w 19-ym numerze „Bluszczu” p. t. „Kobieta a kryzys gospodarczy”, i powtórzyć za nią, że cudotwórstwo polega na pracy w domu i na możliwym „dorabianiu” zarobkowo. Typowa praca zarobkowa kobiety nie wchodzi już w obowiązki Dobrej Wróżki. Cuda jej — to cuda w maleńkim kółeczku domu, gospodarstwa, prawie że niewidocznych prac, oszczędności, kombinacji.

Wszystko to zaczyna się od chwili, gdy mąż na pierwszego przyniesie pensję. Jeżeli ma za żonę Dobrą Wróżkę, to przeważnie przyniesie całą sumę, bo wróżka swą *czarodziejską* laseczką uchroniła go od brania zaliczek (straszenie dręcząca myśl, że na pierwszego dostanie się tylko zł. 10 gr. 53), a także nie porobiła tysiąca długów, które w ciągu jednego dnia pochłoną zawrotną sumę zł. 600, 400, a czasem nawet, pożałuj Boże! 500, tyle, ile wynosi cała pensja. Pozostają do zapłacenia najwyżej jakieś raty, bo w dzisiejszych czasach, nawet od dobrej wróżki nie

można wymagać, aby kupowała za gotówkę, a reszta — to już majątek, którym się rozporządza.

I tu właśnie zaczynają się dzieć cuda: za dotknięciem laseczki, czy też przy pomocy władnego — „stoliczku, nakryj się” — wykwiła za znikomą sumę wykwiintny obiad „z nowalijkami”.

— Kobieto, skąd miałaś na to?! — pyta pan i władca, świadomy znikomości swych dochodów.

— Ano, poszłam sama do hal i kupiłam to; w trzecim sklepie od rogu sprzedają te rzeczy wyjątkowo tanio.

Sama? No tak, bo przychodziła kobieta (poco służąca, jeżeli całe popołudnie siedzi nad manukurem, lub szczyrzy zęby do ordynansa z przeciwka?) pójdzie do najbliższego sklepu i zapłaci dwa razy tyle. W ciągu miesiąca różnica wyniesie około 30-tu złotych, a za to można już dokupić żorżety i ze starej zesłorocznej sukienki zrobić szatę reprezentacyjną. O! kwestja strojów Dobrej Wróżki — to wiecznie żywa i niesłychanie *czarodziejska* historia o Kopciuszku... co to mu z nieba spadła cudna balowa sukienka. Różnica jest tylko ta, że Kopciuszek jest jednocześnie *czarodziejką* i sam sobie stwarza cuda. Trochę gustu, trochę zręczności, minimum własnych, zdobytych wyżej wspomnianym sposobem, pieniędzy — i oto pani zjawia się na przyjęciu u znajomych w tualetcie, na której widok wszystkie „serdeczne” przyjaciółki stają się zielone, jak niedojrzałe cytryny.

— Ona go zrujnuje na stroje! — mówi pani Lula do pani Lali — mój mąż zarabia więcej, a takiej sukni sprawićbym sobie nie mogła...

Dobra Wróżka, słysząc to (kobiety zawsze słyszą, co mówią o nich ich przyjaciółki), uśmiecha się kącikiem ust, bo nikt nie wie, że sukienka została stworzona z trzech starych, dawno nienoszonych tualet: góra z jednej, dół z drugiej, a ozdoby z trzeciej. Radość Dobrej Wróżki w takiej chwili nie ma granic, ale to jest niczem w porównaniu z radością małżonka. Panowie dziwnie lubią, gdy ich żony są dobrze ubrane bez uprzednich dialogów na temat: przecież nie mam co na siebie włożyć!...

Dobra Wróżka takich dialogów nie prowadzi nigdy, po pierwsze dlatego, że niczy nie pomogły, a powtórę słowo „zaradna” oznacza, że sama sobie daje radę.

Jeżeli chodzi o sprawy toaletowe, to maszyna staje się w domu sprzętem nieodzownym; terkoce, śpiewa i tworzy szatki i „dla pani matki” i dla dzieci, które, z nadejściem utrapionych 12, 13, 14 lat, też już chcą „wyglądać”.

Czasami maszyna staje się czemś ważniejszym, niż dostarczycielką strojów: staje się narzędziem pracy zarobkowej. Pomimo, że, jak było powiedziane, praca zarobkowa jest zbyt łatwym sposobem *czarodziejstwa* dla Dobrej Wróżki, muszę jednak powiedzieć o niej słów kilka, a właściwie o tej tylko odmianie, którą pani Stefanja Podhorska-Okołów w wyżej

wspomnianym artykule nazwała pracą zarobkową w domu.

Wobec tragedji 15 proc. redukcji płac, praca taka stała się czemś bardzo ważnem i Dobra Wróżka momentalnie się jej chwyciła. Cóż ma robić całe popołudnie? Na cukiernie i kina szkoda pieniędzy; do przyjaciółek chodzić nie lubi, bo ich wieczne, bezradne biadolenie zabija w niej energję życiową. Więc jeżeli umie szyć — a bardzo często umie — dorabia te nieszczęsne 15 proc.

Czasem maszynę do szycia zastępuje maszyna do pisania i wystukuje złotówki, poprzez długie popołudnie pracy. Pokarmu dla maszyny nie brak nigdy — jedni drugim powiedzą, doniosą, polecą — i stukanie staje się nieomal stałym akompanjamentem wolnych chwil Dobrej Wróżki.

Czasami jednak Dobra Wróżka ma wyższe aspiracje: zna języki, jest inteligentna, ma dobry styl — wtedy tłumaczy z obcych języków. Praca cięższa, bardziej odpowiedzialna, ale przyjemniejsza, a co ważniejsze, realizuje się nie w marnych złotówkach, lecz w całych setkach, co już robi nielada wrażenie na znanych wogóle, a na mężu w szczególności. Wszystko to, te cuda zapobiegliwości i pracy, stwarza Dobra Wróżka przy pomocy — mądrego rozporządzenia czasem: dzień podzielony na drobniutkie krataczki, jak kajet arytmetyczny, a w każdej krataczce tkwi coś pożytecznego. Rano, normalne sprzątanie, zakupy (koniecznie), gotowanie; ale po obiedzie — ho, ho! — co to można napchać w te niezrównane godziny od 4 czy 5-ej do... no, czasem do nieskończoności, ale rozsądniej było do 11-ej. I pracę, i przyjemność, i wypoczynek — wszystko!

A potem się mówi o takiej, przebranej za panią domu, Dobrej Wróżce, że ma czas na wszystko i że dzień ma dla niej nieskończoną ilość godzin. Oczywiście! Sama znam taką osobę, którą poprostu podejrzewam o czarnoksiężskie sztuki. Że jest ona doktorem medycyny, to nic nadzwyczajnego, oczywiście, bo wiele kobiet zajmuje to samo stanowisko: najwyższy czas wycofać kobiety-lekarki z oddziału dla cudów świata; ale że w trakcie kończenia medycyny prowadziła dom, gospodarstwo i... wychowywała córkę — to już ciekawsze. Najciekawsze jest jednak to, że obecnie praktykując, jako lekarz, uczy przytem sama dziecko, prowadzi wzorowo dom, piecze torty, haftuje serwetki i... zarabia więcej, niż mąż, skromny urzędnik państwowy. Niewiasta ta jest bezwzględnie z kategorii dobrych wrózek i to wrózek wysokiego gatunku. Taka, choćby została w momencie życiowej katastrofy sama na świecie, nie opuściłaby rąk bezradnie i nie poszłaby na utrzymanie do bogatych krewnych. Pomijając nawet jej wyższe wykształcenie i możność typowej pracy zarobkowej, dałaby sobie radę przy pomocy tysiąca swych wrodzonych umiejętności.

Można z dziwną łatwością umrzeć z głodu, mając ukończone dwa fakultety uniwersytetu, i można, nie umiając nic prawie z fachowych mądrości, bez po-

mocy nawet mężczyzny, zapewnić byt sobie i dzieciom, dzięki zwykłej zaradności. Zaradność właśnie jest czarodziejską laseczką Wróżki, pomagającą wybrnąć kobiecie, a często i całej rodzinie z ciężkich tarapatów finansowych, a nawet moralnych. Bo cóż może być gorszego dla ojca rodziny, niż ciągle pojękiwanie żony, że położenie jest bez wyjścia?! Obciążli o 15 proc. pensję? głupstwo! Patrz: we dwie godziny odstukam na maszynie, wypiszę, wyszyję choćby te 15 proc. i już po zmartwieniu; a przytem, trochę oszczędności, trochę uwagi w rachunkach, trochę... dobrego humoru i optymizmu i wszystko będzie dobrze. Życie jest piękne, wiosna słoneczna i twój przeniecony garnitur wygląda, jak nowy!

Tak mówi Dobra Wróżka i — hokus pokus — stoi w pięknej sukni, a obok nakrył się stoliczek i złota kurka znosi złote jajka.

Czyż w takich warunkach mąż Dobrej Wróżki ma się czem martwić?

Zofja Miszewska

Z CYKLU „CZEM DORABIAĆ”

Igła, szydelko, druty.

Wszyscy tak doskonale odczuwamy ciężar kryzysu ekonomicznego, że nie potrzeba nikomu tego przypominać. Mozolnie układane budżety rwą się w każdym domu. Coraz trudniej jest związać przyszłowiowy „koniec z końcem”. Trzeba coraz bardziej oszczędzać i ograniczać się. Ale to oszczędzanie i ograniczanie można stosować tylko w pewnej mierze i do pewnego stopnia. Są granice, poza które dalej iść nie można.

Nasuwa się tedy każdemu niewątpliwie jedna i ta sama myśl: więcej zarabiać, albo dorabiać do tego, co się ma. I tu otwiera się pole do działania, szczególnie dla tej pani domu, która nie pracuje zarobkowo. Przy umiejętnie zorganizowanej pracy domowej, nawet obciążona licznymi obowiązkami, pani domu może znaleźć parę godzin dziennie na pracę zarobkową.

Na pierwszy ogień dorabiania pani domu wzięliśmy igłę i roboty ręczne, dlatego, że są to prace codziennej potrzeby i że w tej dziedzinie stosunkowo najwięcej jest osób uzdolnionych, które mogą się jeszcze bardziej wyspecjalizować.

Bo, chcąc dorabiać, trzeba sobie zgóry jasno i wyraźnie powiedzieć, że wszelki dyletantyzm jest w pracy zarobkowej niedopuszczalny, że to, co mamy robić, musi być wykonane kompetentnie i że naszym obowiązkiem jest się tego nauczyć przed rozpoczęciem pracy zarobkowej. Bez tego podejmować jej nie wolno. Natomiast umiejętnie wykonana praca zjedna klientów i wzbudzi zaufanie.

Drugim podstawowym warunkiem jest zapewnienie sobie zbytu. Dlatego też należy się zapoznać dokładnie z potrzebami miejscowego rynku, zanim podejmiemy się jakiejś pracy zarobkowej. Przy szyciu i robotach ręcznych trzeba mieć ten warunek w specjalnej uwadze.

Na prowincji zbadanie zapotrzebowań miejscowego rynku nie przedstawia zbyt trudności dla osoby inteligentnej. W dużych miastach należy za-

sięgnąć porady w zrzeszeniach i organizacjach kobiecych. W dużych miastach zakres wymagań jest bardzo wysoki i można liczyć tylko na zbyt rzeczy bardzo wykwintnych, artystycznych, lub zupełnie indywidualnych. Na prowincji — przeciwnie. Pole działania jest znacznie większe, byleby osoba pracująca umiała i chciała się wznieść ponad przeciętność, albo wytwarzać rzeczy masowego zapotrzebowania.

Szycie (krawiecczyzna i bielizniarstwo) wymaga nie tylko wyrobienia, fachowego uzdolnienia, ale i dużo gustu, pomysłowości i sprytu. Liczyć na dochody „z pracowni“ i wytrzymać fachową konkurencję może tylko osoba, obdarzona temi zaletami. To też, jak wspomniałam, nie należy iść po wydeptanej ścieżce, a szukać nowych dróg zarobkowania, stosownie do zapotrzebowania rynku.

Dla łatwiejszej orientacji czytelniczek podajemy kilka przykładów.

1. W niektórych okolicach może się okazać wybitny brak gotowej *garderoby dla włościanek*, noszących stroje regionalne, lub stosujących się do współczesnej mody. Zastosowanie się do gustu i wymagań odbiorczyń, dostarczanie im ubrań gotowych lub szycie z powierzonych materiałów, może się okazać bardzo dobrym sposobem dorabiania.

2. To samo można powiedzieć o *garderobie dla osób starszych*. Są starsze panie, które nie chcą się wyrzec ulubionego staroświeckiego kroju sukien lub bielizny, a nie mogą znaleźć tych rzeczy w sklepach. Bielizna letnia i ciepła, nocne kaftaniki, suknie, szlafroki, okrycia, czepeczki, szale ciepłe, pantofle domowe, stołeczki i poduszki pod nogi — to zakres ich potrzeb.

3. Podejmowanie *naprawy i cerowania* bielizny i ubrań kobiet pracujących przez cały dzień oraz kawalerów, lub mężczyzn samotnych, odpowiednio poprowadzone, mogłoby i u nas wejść w zwyczaj (jak np. w Ameryce) i stać się źródłem dochodu dla jednych, a ogromnym udogodnieniem dla drugich.

4. *Wyprutki dla niemowląt*, wykonane według wskazań higieny, przygotowane w minimalnych, zalecanych ilościach, o nowoczesnym kroju, gotowe i na zamówienie — ułatwić mogą często zadanie młodej matce, dając wykonawczyni pożyteczny sposób dorabiania.

5. W okresie gwiazdkowym takim pewnym zarobkiem może być *szycie garderoby dla lalek*, robota szydełkami i na drutach czapeczek, swetrów, rękawiczek, sukienek i t. p. dla tych małych ulubieniec. Zadowolone klientki wróciłyby napewno do pracowni wraz ze zmianą sezonu.

6. *Drobiazgi bielizniane*: kołnierzyki, mankiety, krawaty, żaboty, wykonane wykwintnie, mogą znaleźć zbyt w okresie, kiedy są modne i poszukiwane, a w sklepach bardzo drogie.

7. Szycie *fartuszków i fartuchów* nastęrcza też wiele możliwości. Dziecięce, począwszy od śliniaczków, pensjonarskie, gospodarskie (małeńkie i duże), dla służby, włościańskie, lekarskie, pielęgniarskie, sklepowe, biurowe — umiejętnie wykonane i wprowadzone na rynek, mogą stać się w danej miejscowości zorganizowanym przemysłem.



PIXAVON
NADAJE WŁOSOM
ZARÓWNO CIEMNYM JAK I JAŚNYM
MIĘKKOŚĆ
JEDWABISTOŚĆ
POŁYSK

8. Ważnym odłamem szycia jest *pikowanie*. Ta dziedzina pracy ręcznej nie ogranicza się do wykonania kołder. Wchodzą w jej skład modne jedwabne szlafroki, całe pikowane, pantofelki, poduszki ozdobne, kapki na wózki i beciki. Warto w danej okolicy zwrócić uwagę na zapotrzebowanie rynku w tym kierunku.

9. W dziedzinę dekoracji wnętrza wkraczają *firaneczki*. Oczywiście, ręczne, tak modne — poszywane na siatce, rozszywane wstawkami, mereżkowane, zazdrostki, haftowane na opalu. Wykwintne wykonanie, wraz z umiejętnością zakładania firanek, może być bardzo dochodową pracą dla zręcznej i pomysłowej wykonawczynie.

10. *Kuśnierstwo* i prace, z niem związane, są doskonałym zajęciem dla kobiet. Naprawa futer, przeróbki, wykonanie małych przedmiotów, jak kołnierze, mankiety, szyjki, po odpowiednim wyuczeniu się może przynieść dużą korzyść paniom, zwłaszcza na prowincji.

11. Paniom, znającym *roboty na drutach*, radzimy wyspecjalizować się w tym kierunku i poszukać rynku zbytu na skarpetki i pończochy sportowe, szale, czapki i pullovery damskie i męskie, które nabywamy za wysoką cenę, gdyż są wyrabiane zagranicą.

Trochę tych przykładów podajemy do rozważenia i wypróbowania tym paniom, które, pragnąc dorabiać, czują się na siłach do podjęcia i sumiennego wykonania obranej pracy zarobkowej.

M. Dobrowolska.

METODY OBCHUDZANIA

Z metod odtłuszczających, zezwalających na spożywanie dowolnej ilości płynów, ograniczających natomiast ilość pokarmów stałych, na uwagę zasługuje metoda, zezwalająca na dowolne spożywanie białka, natomiast ograniczająca cukier (węglowodany) i tłuszcze. Według tej teorii mięsa można spożywać ilość dowolną. Twórcą tej teorii odżywiania jest Chambers, Immermann, następnie popierał ją Cantani i inni.

Według tej teorii należy jadać 4 razy dziennie: o godzinie 9-ej, 14-ej, 18-ej i 21-ej. Należy zjadać około 560 gr. mięsa: może to być wołowina, baranina, ptactwo, dziczyzna, ryby smażone; następnie około 80 gr. pieczywa, nieco owoców i jarzyn i wreszcie około 1200 gr. płynów, t. j. wody; wina czerwonego.

Tym sposobem spożyje się 50 — 100 gr. tłuszczu, 170 gr. białka i do 120 gr. węglowodanów.

Z lekarzy, stosujących powyższą metodę obchudzania, wymienić można d'Harvey'a i Schwenninger'a. Ten ostatni leczył z dobrym wynikiem Bismarka, co mu wyrobiło opinię wielkiego specjalisty.

Według metody znakomitego Romme'a, śniadanie powinno się jadać o godzinie 7-ej rano; musi ono się składać z kawałka holenderskiego lub szwajcarskiego sera, czy jednego jajka, albo 10-ciu suszonych śliwek. Można też dawać zamiast powyższego talerz kartofli, kalarepy, albo marchwi, nieco cielęciny z ryżem, szynki, lub też talerz zsiadłego mleka.

Na drugie śniadanie—o godzinie 10-ej—można zjeść kawałek mięsa, czy to wołowiny, czy cielęciny; może być też 1 jajko, nieco jarzyn, lub kawałek sera.

Na obiad — kawałek pieczeni, kotlet, wątróbka cielęca, jednak bez sosów, ani kompotów.

Na podwieczorek — mleko zsiadłe, nieco jarzyn, lub owoce.

Na kolację zaś nieco jarzyn, np. kalafjory, kalarepa; czy też ryba, a mianowicie łosoś, pstrąg, lub 1 jajko, mleko zsiadłe.

Podczas jedzenia nie należy pić; dopiero w pół godziny po jedzeniu wolno wypić małą szklanczkę wody mineralnej gazowanej. Jako dodatek, można przed snem zjeść 1 jabłko.

Drugą metodą odtłuszczającą, a polegającą na ograniczeniu spożywania węglowodanów jest metoda Ebsteina.

Według niej, na śniadanie o 7-ej rano wolno wypić szklankę (250 gr.) kawy lub herbaty, lecz bez mleka i cukru; zjeść 50 gr. czerstwego chleba z masłem w ilości około 30 gr. Na drugie śniadanie o godzinie 14-ej — 150 gr. mięsa z niewielką ilością jarzyn, jak np. kartofli, marchwi, brukwi, i na deser owoce lub kompot, oczywiście bez cukru, oraz 50 gr. czerstwego chleba.

Na obiad około godziny 19-ej — 2 jajka, lub też 100 gr. mięsa, nieco jarzyn, ser, lub świeże owoce, 50 gr. czerstwego chleba (może być z masłem). Jako napój, może służyć szklanka herbaty bez cukru, lub do 3 szklanek wina.

Widzimy więc, że według tej teorii wprowadzamy do organizmu około 1800 gr. płynów, czyli dawkę zupełnie normalną. Wogóle istnieje zdanie, że ilość płynów nie wpływa absolutnie na odtuszczenie, prowadząc się tylko do zaostrzenia apetytu, to też podczas jedzenia dobrze jest używać ich jaknajmniej, natomiast w przerwach między posiłkami można się nie ograniczać.

A teraz kilka słów o teorii, pozwalającej na spożywanie dowolnej ilości płynów, natomiast ograniczającej pokarmy stałe.

Kirsch dzieli pacjentki na 2 kategorie. Do pierwszej zalicza osoby pełnokrwiste, z prawidłowo działającymi nerkami, jednakże z pewnymi skłonnościami do kamicy i artretyzmu; tym właśnie nie należy przepisywać kuracji, ograniczającej spożywanie płynów.

Wprost przeciwnie: osoby, należące do drugiej grupy, t. j. arterjosklerotycy i anemiczni, przy upośledzonej działalności nerek, powinni zachować duży umiar w spożywaniu płynów.

A teraz przepis dziennej diety. O g. 5¹/₂ należy wypić 250 gr. wody Marienbadzkiej w czterokrotnych odstępach. Na 1-e śniadanie można zjeść do 50 gr. zi-

mnego chudego mięsa z 50 gr. czerstwego chleba, jedną szklanką lekkiej herbaty lub kawy mlecznej, przy czym mleko powinno być zbierane (w ilości nie większej po nad 2 łyżki stołowe). Około godziny 11-ej wypić ponownie 250 gr. wody Marienbadzkiej (jak na czezo). Na drugie śniadanie około godziny 12-ej wypija się filiżankę odtłuszczonego buljonu, zjada około 150 gr. chudego mięsa z dowolną ilością gotowanych jarzyn i 30 gr. czerstwego chleba. Można również wypić do 2-ch szklanek wina rozcieńczonego wodą.

Nie kłaść się spać przed 10-tą, lecz nie sypiać mniej, niż 7 godzin. Poza tem trzeba dużo spacerować na świeżem powietrzu.

Profesor Robin uważa, że ograniczać w płynach należy tylko tak zwanych „pełnokrwistych”; natomiast nie wolno tego zalecać osobnikom o tak zwanej „konstytucji limfatycznej”.

O ile stosujemy pięciokrotne pożywienie, należy rozdzielić je w ten sposób: o 8-ej rano dajemy 1 jajko na miękko, 20 gr. chudego mięsa albo ryb — wszystko na zimno. Pozatem 1 szklankę gorącej, lecz b. słabej herbaty bez cukru. O dziesiątej — 2 jajka na miękko, 5 gramów wody z niewielką ilością wina. W południe — dowolną ilość zimnego chudego mięsa bez sosu, z sałatą, przyprawioną cytryną i niewielką ilością soli, 100 do 150 gr. ciepłej, lekkiej herbaty bez cukru. O godzinie 16-ej może być (dla oszukania głodu) lekka, ciepła herbata, również bez cukru; o g. 19-ej to samo, co rano.

Jak widzimy więc, powyższe pożywienie w zupełności zaspokoić może apetyt; brak w niem tylko tłuszczów i węglowodanów.

A teraz kilka słów o czynnikach fizycznych, wpływających na dobrą przemianę materji, a tem samem niezbędnych w kuracji obchudzającej.

Jak świeże powietrze wpływa na zatrącenie jednostek energii cieplnej, świadczyć może to, że, według Lefebrea, człowiek, przebywający nago w ciągu godziny na świeżem powietrzu (gdym szybkość wiatru wynosi 12 kilometrów na godzinę), w ciągu godziny przy ciepłocie 10°C traci 210 kaloryj; przy 15°C traci 150 kaloryj, a przy 20°C — 112 kaloryj.

Jednym z najlepszych czynników fizycznych, wpływających na utratę tłuszczu, jest spacer; powinien jednak być nie męczący i nie utrudniać oddychania. Według Kisch'a i Schindler'a, należy spacerować dziennie około 5 — 7 godzin w czterokrotnych odstępach. Poza tem zalecić można jazdę na rowerze, wiosłowanie, boks, gimnastykę, fechtunek, a nawet taniec, pod warunkiem jednak, że nie będzie się go nadużywało i że będzie się odbywał w lokalu dobrze przewietrzonym.

Jak duży wpływ ma ruch na zmniejszenie energii cieplnej, świadczy wyliczenie Maurel'a, według którego człowiek, ważący 65 kilogramów — o ile zaniesie dziennie 50 razy na wysokość 10 metrów 20 litrów wody w naczyniach, ważących 5 litrów i przy wadze ubrania około 4 kilogramów, za każdym razem wypełni robotę, równającą się 940 kilogramometrom, a o ile wykona to 50 razy, robota jego będzie się równała 47500 kilogramometrom — zużyje na to 112 dużych jednostek cieplnych.

Ażeby zaś odzyskać te stracone 112 kaloryj, należy spożyć 12 gr. tłuszczu, albo 30 gr. cukru.

Duży również wpływ na schudnięcie mają ćwiczenia pasywne. Tutaj na pierwszym planie stoi masaż i mechanoterapia. Również elektryzacja i balneo-

terapia przychodzi nam lekarzom z dużą pomocą w leczeniu otyłości.

Deschamps zaleca brać codziennie w ciągu 40 minut kąpiel przy 25°C. Kąpiele morskie są jeszcze lepsze. Lefevre podaje tablicę utraty ciepłota w kąpieliach w ciągu jednogminutowej kąpieli:

| | |
|------|-------------|
| 31°C | 0,5 kaloryj |
| 26°C | 2 kaloryje |
| 22°C | 4 kaloryje |
| 17°C | 7 kaloryj |
| 11°C | 10 kaloryj |
| 5°C | 17 kaloryj |

Kąpiele parowe wywołują znaczną transpirację. Po takich kąpielach za każdym razem można stracić około 2 kilogramów, lecz wypływa to ze straty wody przez organizm, co jest bez znaczenia, gdyż organizm odzyskuje utraconą wodę w bardzo krótkim czasie.

W leczeniu otluszczenia stosuje się również kąpiele słoneczne i naświetlanie sztucznem światłem.

Sposoby leczenia środkami farmaceutycznymi, jak również i niektóre inne informacje, niezbędne dla ujęcia całokształtu, podam w następnej pogadance. A teraz dla orjentacji pozwolę sobie podać tablicę, wskazującą średni wzrost i wagę, według Quetelet'a.

| Wiek lat: | Mężczyźni | | Kobiety | |
|-----------|-----------|-------|---------|-------|
| | wzrost | waga | wzrost | waga |
| 1 | 0,698 | 9,45 | 0,690 | 8,99 |
| 2 | 0,771 | 11,54 | 0,780 | 10,67 |
| 3 | 0,864 | 12,47 | 0,852 | 11,79 |
| 4 | 0,928 | 14,25 | 0,915 | 15 |
| 5 | 0,988 | 15,77 | 0,974 | 14,56 |
| 6 | 1,047 | 17,24 | 1,105 | 16,01 |
| 7 | 1,105 | 19,10 | 1,146 | 17,54 |
| 8 | 1,162 | 20,76 | 1,181 | 19,08 |
| 9 | 1,219 | 22,65 | 1,195 | 21,36 |
| 10 | 1,275 | 24,52 | 1,248 | 23,52 |
| 11 | 1,330 | 27,10 | 1,299 | 25,65 |
| 12 | 1,385 | 29,82 | 1,355 | 29,82 |
| 13 | 1,439 | 34,58 | 1,405 | 32,94 |
| 14 | 1,493 | 38,76 | 1,455 | 36,70 |
| 15 | 1,546 | 43,62 | 1,499 | 40,59 |
| 16 | 1,594 | 49,67 | 1,535 | 43,57 |
| 17 | 1,634 | 52,85 | 1,555 | 47,31 |
| 18 | 1,658 | 57,85 | 1,564 | 51,05 |
| 20 | 1,674 | 60,06 | 1,572 | 52,28 |
| 25 | 1,680 | 62,93 | 1,577 | 53,28 |
| 30 | 1,684 | 65,65 | 1,579 | 54,35 |
| 40 | 1,684 | 65,67 | 1,579 | 55,25 |
| 50 | 1,674 | 65,46 | 1,536 | 56,16 |
| 60 | 1,659 | 62,94 | 1,516 | 54,30 |
| 70 | 1,625 | 59,52 | 1,514 | 51,51 |

Dr. med. Zofja Rostkowska.

PIĘTNAŚCIE PROCENT

Zkolei muszę przejść do najważniejszej pozycji w budżecie domowym — do pozycji, która przed wojną stanowiła 20 do 25% rozchodów rodziny, a która obecnie urosła, wyolbrzymiała niepomiarowo i w wielu rodzinach wynosi połowę wydatków miesięcznych (ba! słyżałam nawet o 70%).

W tych olbrzymich wydatkach na odżywianie, obok zwykłej nieudolności pani domu, gra dużą rolę niezrozumienie zmiany warunków przez wszystkich

Mydło ELIDA Favorit

Czyste, łagodne,
wytwornie
perfumowane



551

członków rodziny, niechęć i niezastosowanie się do tych zmienionych warunków.

Nikt nie chce w tej dziedzinie zmieniać swoich przyzwyczajęń.

Mąż i dzieci, służba nawet, uważa, że jeżeli się mieszka w dwóch pokojach, zamiast sześciu — to mus; jeżeli się nie chodzi prawie wcale do teatru, bo na to nie stać — to mus; jeżeli się nie czytuje nic oprócz codziennej gazety i zrzadka pożyczonej książki — to mus; jeśli ubranie trzeba wciąż nicować i przerabiać — to mus; ale zmienić cokolwiek w śniadaniach, obiadach lub kolacjach — nie wolno: to tabu.

Każdy z członków rodziny czegoś nie je, nie znosi i odwrotnie: za czemś przepada. I te „cosie“ mają być koniecznie uwzględnione, chociażby to groziło naruszeniem budżetu. Nie wolno podawać pożywnych klusek, bo ich nie znosi Wacio; muszą być codziennie wcale niezdrowe serdelki, bo je szalenie lubi Minia; Oleś nie pójdzie do szkoły bez tabliczki czekolady, a pan domu nie zasiądzie do obiadu bez butelki piwa.

Mój Boże! przecież to wszystko nie zbytek, to wszystko takie skromne wymagania, na jakie sobie przeciętny robotnik może pozwolić.

Możliwe, że robotnik, szczególnie, jeżeli jest specjalistą i jest dobrze płatny, bo też robotnik ma znacznie mniej wymagań kulturalnych i obowiązków społecznych i towarzyskich, — lecz nie pracujący inteligent, którego obowiązują dzisiaj najbardziej drobniagowe oszczędności.

Chętnie powtarzamy aforyzm francuski: „économie des bouts d'allumettes“ — i lubimy sobie żartować z drobiazgową oszczędnością francuskich i niemieckich gospodyń. W domu niema drobnych oszczędności: jest jedna stała, duża, konsekwentna oszczędność.

Jeżeli w domu, gdzie są palacze, potrafimy oszczędzić codziennie jedno pudełko zapalek — w ciągu miesiąca zaoszczędzimy 5 złote.

Jeżeli dopilnujemy, żeby mleczarka dawała nam codziennie pełny litr mleka — zamiast 9 decylitrów, jak te panie stale robią — będziemy miały miesięcznie o 3 litry mleka więcej.

Jeżeli codziennie na zakupach zaoszczędzimy tylko 10 groszy — w ciągu miesiąca pozostanie nam 3 złote.

I takich pozycji w gospodarstwie jest niezliczona ilość.

Wprowadzenie systematycznej oszczędności, mającej obecnie specjalne znaczenie wobec katastrofal-

nego zmniejszenia poborów o 15%, leży naturalnie głównie w ręku pani, gospodyni domu; jednak i inni członkowie rodziny mogą bardzo poważnie do niej się przyczynić przez współpracę, a głównie przez wyrzeczenie się grymasów i wymagań. Naprzykład: palacze powinni się wyrzec palenia gotowych papierosów, a sami je sobie robić w domu — praca nieduża — oszczędność poważna.

Wracając do tego, co należy do pani domu, trzeba przede wszystkim usunąć wszelkie marnowanie resztek. Na tem polu mamy do przeprowadzenia ciężką walkę ze służbą, która tego rodzaju wymagania uważa za brzydkie skąpstwo. Kilkanaście kartofli — które można zużyć na smakowitą sałatkę, resztki bułek — na bułeczkę tartą, kawałki chleba czarnego — po ususzeniu i utarciu na wyborną leguminkę z jabłkami — wszystko to naprzód kiśnie i pleśnieje, następnie idzie do kubła. Resztki mięsa przy kościach, zimą przez dni kilka zbierane, dadzą pierożki, krokietki, lub farsz do naleśników. Takich przykładów można przytoczyć setki — i z tych drobiazgów niezmarowanych w ciągu roku powstać mogą setki oszczędności.

Następnie — osobiste robienie zakupów.

Już nie mówiąc o produktach suchych, trwałych, które należy zakupywać raz na miesiąc — przez co uzyskujemy nietylko niższą cenę, lecz i korzyść na zmniejszonej ilości torebek i innych opakowań — ale i zakupy codzienne, robione osobiście, przynoszą nie grosze, lecz duże złote oszczędności i pozwalają nam korzystać z całej masy przysmaków, inaczej niedostępnych.

Przypuśćmy, że sałata jest drogą nowalijką, że pieczarki wogóle są zbyt kosztowne, że cena ryby niesłychanie się waha. Gospodyni nie może polecić kupna tych produktów służącej, gdyż ona albo nie kupi ich wcale, lub kupi właśnie po bardzo wygórowanej cenie. Sama pani zobaczy na straganie resztkę pieczarek, którą kupiec zbędzie za byle co, byleby mu nie zwiędły; trafi na dzień dużego połowu, a przez to i tańszej ryby; dowie się, że dnia tego właśnie dowieziono dużo sałaty, wykorzysta tę pomyślną konjunkturę i zmieni projektowany jadłospis na bardziej urozmaicony, a bynajmniej nie kosztowniejszy.

No, i jeszcze rzecz ważna: panią, kupującą osobiście, mniej oszukają na miarze i wadze. Służąca warszawska uważa dopilnowanie wagi i miary, targowanie się o cenę, a nawet sprawdzanie rachunku, za brak *savoir vivre* u względem sprzedającego.

Poważną oszczędność w ciągu miesięcy zimowych dają racjonalnie przyrządzone latem zapasy. Nie mówię tu o kartoflach, kiszzonej kapuście i ogórkach, które, przyrządzone w dużej ilości i niedopilnowane, nieraz większą stratę, niż korzyść przynoszą. Nie zalecam też koniecznie smażenia wykwintnych konfitur, kompotów i kosztownych owoców; lecz duży zapas borówek na sałate, czarne jagody w butelkach na zupy owocowe, pomidory, marmelady owocowe, zwykłe, gospodarskie konfiturki, dżemy i kompoty, zawsze z najtańszych owoców i w odpowiednim sezonie przyrządzone — dają zimą nietylko zdrowy dodatek owocowy do posiłków, ale i przynoszą poważną oszczędność.

Żeby tego rodzaju oszczędności odczuć, żeby je sobie uwidocznić, należy przez rok cały prowadzić ścisłą drobiazgową rachunkowość.

Poza budżetem rocznym, dokładnie zrobionym na zasadzie wydatków z roku ub., z uwzględnie-

niem zmniejszonych o blisko szóstą część dochodów, musimy się nauczyć przewidywać wydatki gospodarcze na miesiąc, na tydzień, a nawet na dzień następny i z nieubłaganą konsekwencją zmuszać siebie do stosowania się do sumy, jaką właśnie na dzień ten rozporządzamy.

Na jednym nie wolno nam oszczędzać: na owocowej leguminie, gdyż owoce wraz z cukrem są koniecznym warunkiem zdrowia dla dzieci i dla dorosłych.

Pozatem możemy skreślać zupy, zastępując je jarzynami lub salatami; możemy (latem szczególnie) zmniejszyć ilość, a czasem zupełnie wykreślić z jadłospisu mięso.

Jako przykład, wezmę najprzeciętniejszy obiad oszczędnej rodziny: rosół z kluskami, sztukamięsa z kartoflami z wody i chrzanowym sosem i kompot z rabarbarum.

| | |
|---------------------------------|-------------|
| 1½ kg. mięsa | 5 zł. — gr. |
| włoszczyzna | 15 .. |
| 1 kg. kartofli | 20 .. |
| 40 dk. mąki na kluski | 30 .. |
| 1 jajko | 10 .. |
| korzonek chrzanu | 20 .. |
| półkwaterek śmietany | 30 .. |
| 5 deka masła | 20 .. |
| ½ kg. rabarbarum | 30 .. |
| 15 deka cukru | 24 .. |
| sól, ocet i t. p. | 10 .. |

5 zł. 09 gr.

i przeciwstawię mu obiad równie pożywny:

Zupa z jarzyn, purée, zabiellana; makaron domowy zapiekany z szynką, taki sam kompot z rabarbarum:

| | |
|---------------------------------|--------------|
| włoszczyzna | — zł. 15 gr. |
| ½ kg. kartofli | 10 .. |
| 5 deka masła | 20 .. |
| pół kwaterek śmietany | 30 .. |
| mąki 80 deka | 50 .. |
| 2 jaja | 20 .. |
| 15 deka szynki | 90 .. |
| tluszcz, bułeczka | 10 .. |
| ½ kg. rabarbarum | 30 .. |
| 15 deka cukru | 24 .. |

2 zł. 99 gr.

Drugi obiad, niemniej pożywny, a może zdrowszy, kosztuje prawie o połowę mniej od pierwszego.

Jeszcze bardziej rażące są różnice przy kolacjach, na które jadamy przeważnie wędliny kupne, bardzo mocno saletrowane i przyprawione dużą ilością korzeni. Nieskończenie lepiej jest zastąpić je gorącą kolacją, na którą mogą się składać dania mleczne, mączne, z jaj i t. p.

Jako przykład, znowu dam przeciętną kolację inteligentnej rodziny:

| | |
|----------------------------------|--------------|
| 10 bułeczek | — zł. 60 gr. |
| 20 deka masła | 90 .. |
| 40 deka szynki | 2 zł. 40 .. |
| herbata i 20 dk. cukru | 50 .. |

4 zł. 40 gr.

i, jako przeciwstawienie, kolację zdrowszą:

| | |
|--------------------------------|--------------|
| 2 pęczki rzodkiewki . . . | — zł. 10 gr. |
| 10 deka masła | 45 „ |
| jajecznica: 10 jaj | 1 zł. — „ |
| szklanka mleka | 12 „ |
| 6 deka słoniny | 15 „ |
| 1/2 kilo chleba czarnego . . . | 20 „ |
| herbata i 20 deka cukru . . . | 50 „ |

2 zł. 52 gr.

Znowu prawie o połowę taniej, a rzuca się wprost w oczy, że drugi jadłospis jest i zdrowszy, i bardziej urozmaicony. Ceny wzięłam obecne warszawskie, lecz stosunek kosztów zostanie ten sam przy każdych innych cenach.

Oszczędzania nie można nauczyć — można dać tylko przykłady, w nadziei, że zachęcą one do ścisłego obliczania kosztu posiłków.

Pani Elżbieta.

OBIADY DLA PRACUJĄCEJ INTELIGENCJI

(NA PIĘĆ OSÓB)

OBIAD:

Zupa cytrynowa.

Kotlety cielęce siekane — szpinak.

Kremik z manny.

KOLACJA:

Zimne kotlety z obiadu.

Salata kartoflana.

Z półtora kilo cielęciny od łopatki lub od dyszka wyluzować kości i nastawić na smak z marchewką, pietruszką, cebulą i paru gałązkami koperku. Ugotować z tego półtora litra rosółu. Oddzielnie ugotować na sypko dobrą szklankę ryżu, przed samem podaniem zalać ryż rosółem i jeszcze razem pogotować, włożyć łyżkę masła, ubić mocno trzepaczką zupę, aby się ryż rozkleił. Do wazy włożyć pół pokrajanej w cienkie plasterki cytryny wraz ze skórą, pookrawane z kości, drobno pokrajane kawałki mięsa, trochę zielonego koperku; zalać zupą. Jeżeli chcemy mieć zupę smaczniejszą, włożyć do wazy półkwaterek dobrej, kwaśnej śmietany.

Miękką cielęcinę (powinno jej być około 80 deka) przepuścić dwa razy przez maszynkę, poraz drugi dodając dwadzieścia deka bułki, rozmoczonej w mleku lub wodzie i dobrze odciśniętej; wbić w tę masę dwa jaja całe, garstkę usiekanego koperku, osolić do smaku. Posypać stolnicę mąką po połowie z tartą bułeczką. Uformować dziesięć mniejszych i pięć większych kotletów. Wszystkie usmażyć razem na maśle, lub szmalcu. Dziesięć mniejszych podać gorące do obiadu, pięć większych pozostawić zimne na kolację.

Kilo szpinaku przebranego i dobrze umytego pokrajać w drobną kostkę. Włożyć do rondla z dobrą łyżką masła (6 deka), pogotować razem najwyżej pięć minut, posypać łyżką mąki, wlać szklankę mleka, dodać soli do smaku, cukru niedużą łyżkę, ugotować razem. Szpinak tak przyrządzony jest najzdrowszy i powinien zachować śliczny, zielony kolor.

Filiżankę manny wsypać, wciąż mieszając, na trzy szklanki wrzącego mleka. Gotować, aż zgęstnieje. Odstawić jeszcze na pół godziny na brzeg blachy, aby kaszka doskonale wybrzękła. Przełożyć na miskę, dodać trzy łyżki cukru, utłuczonego z kawałkiem (centymetrowym) wanilji. Ubijać trzepaczką minut dwadzieścia. Przełożyć do foremki, wylanej wodą i wysypanej cukrem. Wynieść na chłód na kilka godzin. Podając, wyłożyć na półmisek. Jeśli mamy w domu konfitury, podać je do kremiku; w braku konfitur — cukier utłuczony z wanilją.

Pani Elżbieta.

Podziel się z tobą . . .



cukier krzepi

PRZEPISY GOSPODARSKIE

SALATKA WITAMINOWA.

Pół kilo młodej karotki, dziesięć deka szparagów (po odrzuceniu części zdrewniałych), pęczek rzodkiewek zestrugać na grubej tarce do buraków. Pięć deka najmłodszych, zupełnie białych pieczarek obrać ze skórek i pokrajać w płatki cienkie, jak papier. Wszystko to zmięszać, leciuchno osolić, wsypać łyżeczkę cukru, zacisnąć sokiem z całej cytryny, połać czterema łyżkami dobrej oliwy i wymieść na parę godzin na chłód. Przed podaniem ułożyć w piramidę na salaterce i obłożyć wkółko cienko w plasterki pokrajanym świeżym ogórkiem. Ogórek ten połać sosem, który się uformował z jarzyn. Oddzielnie podać do tego kartofle z wody, lub upieczone pod blachą.

KROKIETKI Z RESZTEK MIĘSA.

Czterdzieści deka różnych resztek mięsa gotowanego, pieczonego czy smażonego, zmięszać z dziesięcioma dekami przeraśniętej szynki, lub boczku wędzonego i gotowanego (mogą być dobre obrzynki od szynki, byle bez skórk). Wszystko to przepuścić przez maszynkę. Sporą cebulę pokrajać drobno, przesmażyć w łyżce masła; gdy miękka i lekko rumiana, dodać siekane mięso, przesmażyć razem, posypać sporą łyżką mąki, dobrze wymieścić, wlać szklankę rosółu lub wody z kostką bułjonową, zagotować razem. Farsz ten powinien być bardzo gęsty. Postawić na chłodzie. Gdy zupełnie ostygnie, wbić duże jajko całe, wymieścić doskonale. Podzielić na równe części. Formować zgrabne krokietki w kształcie kulek lub korków. Mieć na talerzu rozbite jajko całe, lub tylko białko. Krokietki maczać naprzód w mące, następnie w tem jajku, następnie w tartej bułeczce i natychmiast smażyć na rozpalonym szmalcu lub na fryturze. Osączyć na bibule, ułożyć w piramidę na półmisku pokrytym serwetką, ubrać zielonemi gałązkami pietruszki surowej lub podsmażonej w tym samym tłuszczu, w którym smażyliśmy krokietki. Podać z cytryną, pokrajaną w podłużne ćwiartki, lub z czystym sosem pomidorowym.

KOTLETY Z WERMISZELU.

Dwadzieścia deka drobnego wermiszelu lub cieniucho krajanych kluseczek domowych odgotować w osolonym wrzątku, nie przegotowując jednak, odcedzić, przelać zimną wodą. Gdy ostygną, usiekać tasakiem na stolnicy. Szklankę wody zagotować z dobrą łyżką masła (5 deka), na wrzącą wsypać pół szklanki mąki, wybijać drewnianą łyżką, aż odstanie od ścianek rondla. Dziesięć deka przerastalej szynki (mogą być obrzynki, byle bez skórki) usiekać drobno. Zmieszać wermiszel, zaprażkę mączną (powinna być bardzo gęsta) i szynkę. Wbić duże jajko całe, osolić do smaku, odrobinę popieprzyć białym pieprzem. Kto lubi gałkę muszkatołową, może jej użyć zamiast pieprzu. Wymieszać masę doskonale. Podzielić na równe części. Uformować niegrube kotlety. Utarzać w mące, następnie w rozbitym jajku, na koniec w tartej bułeczce. Smażyć następnie w odbitym smalcu, lub roślinnym maśle. Podawać z zieloną sałatą.

WITAMINOWA LEGUMINA.

Trzy żółtka utrzeć do białości ze szklanką cukru. Pozostałe białka ubić na bardzo sztywną pianę. Szklankę najlepszej kwaśnej śmietany ubić na krem. Sześć listków żelatyny, w pierw wymoczonej w zimnej wodzie, rozpuścić w paru łyżkach gorącej wody, dodać parę łyżek ubitej śmietany, zmieszać z resztą. Złączyć utarte z cukrem żółtka, ubite białka i krem śmietankowy, dodać dla zapachu trochę otartej skórki cytrynowej lub utłuczonej z cukrem wanilji. Przełożyć do salaterki i wynieść na chłód dla zastudzenia. Podawać w tem samym naczyniu. Jest to idealnie witaminowa legumina, gdyż wszystkie produkty są bogate w witaminy i użyte na surowo.

LIMONJADA-KRUSZON.

Z trzech cytryn wycisnąć sok, obetrzeć z jednej z nich skórkę na delikatnej tarce. Zagotować syrop ze szklanki wody i szklanki cukru. Dodać sok cytrynowy i otartą skórkę, rozprowadzić gotowaną wodą do ilości litra. Po ostudzeniu przelać do kryształowego dzbanka, dodać litr białego lekkiego wina (może być krajowe typu reńskiego). Włożyć kilka dużych kawałków lodu. W chwili podania wlać w to butelkę dobrej, gazowanej limonjady lub oranżady. *Pani Elżbieta.*

KORESPONDENCJE

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Pani Pietrasiowej w Radomiu. — O ile mogę się zorientować z listu Sz. Pani, chodzi Jej o „czerwony liszaj mieszkowy”. Jeżeli tak, to proszę spróbować wcierania na noc maści o poniższym składzie: Resorcini resublimati i Acidi salicilici po 0,15 gr. i Pastae zinci sulfurati (Unna) 5,0 gr. Gdyby wystąpiło jakieś podrażnienie skóry, to proszę na pewien czas zaprzestać wcierania maści, a podrażnione miejsca leczyć aż do zlagodze-

nia pastą ichtjолоwą 10%. Zaznaczam, że prócz miejscowego leczenia należy stosować i wewnętrzne, lecz ramki „Działu odpowiedzi” są za szczupłe, by mówić o tem obszernie. W krótkim czasie postaram się omówić tę sprawę w oddzielnym artykule.

Pani Wandzie z Łodzi. — O ile chodzi Pani o łupież, nawarstwiający się w postaci łusek, podobnych do azbestu, należy zacząć kurację od usuwania nawarstwień oliwą nicejską, potem trzeba dokładnie umyć dziecku głowę mydłem miękkim, najlepiej Marsylskim, i nasmarować skórę głowy na noc wazeliną. Na drugi dzień głowę ponownie umyć i stosować codziennie na noc w ciągu dłuższego czasu, aż do zniknięcia łusek, następującą maść: siarki osadzonej 5 gr., kwasu salicylowego 0,75 gr i wazeliny 25 gr., rano zaś myć głowę mydłem dziegieciowym. Oczywiście, należy zwrócić uwagę na stan ogólny. Sądzę, że dobrze byłoby dawać jakiś preparat arsenikowy; poza tem należy zwalczać obstrukcję, nie dawać dziecku konserw, ryb morskich, wędlin tłustych i pikantnych sosów, serów fermentujących, kawy, herbaty.

Stalej czytelniczce ze Lwowa. — Koszta, związane z operacją kosmetyczną nosa, jak i czas jej trwania, uzależnione są od każdego poszczególnego wypadku, albowiem nie wszystkie dadzą się podciągnąć pod jeden szablon. Należy też zwrócić się osobiście do lekarza, wykonującego podobne operacje. Ponieważ interesuje Panią adres takiego specjalisty, zechce Pani napisać do mnie pod adresem Redakcji, a zakomunikuję go Pani listownie.

„Zosieńce”. — Farby do włosów, przygotowane z henny, nie są szkodliwe, jakkolwiek domieszki, które fabrykanci dodają dla tych czy innych powodów, mogą drażnić skórę, powodować łamliwość włosów, a nawet zatrucie całego organizmu. O fabrykacie, o który Pani zapytuje, niestety nie mogę nic powiedzieć, gdyż to już wkracza w dziedzinę, nie mającą nic wspólnego z medycyną, traktującą wady skóry, cery i włosów.

Pani z Ostrowa W. Polskiego. — O obchudzaniu pisałam w Nr. 16 z dnia 18. IV; następnie, jako dalszy ciąg, w Nr. 20 (16. V.). Natomiast przepisom, jak się pani wyraża w liście, na „przytycie” poświęcę w swoim czasie oddzielną pogadankę.

Pani Bed. w Dawidgródku. — O sposobach obchudzania pisałam w Nr. 16 (18. IV) i, jako dalszy ciąg, w Nr. 20 (16. V.), a jaki to jest obszerny temat, może Pani sądzić z tego, że jeszcze 2 artykuły poświęcę temu zagadnieniu. W każdym poszczególnym wypadku należy postępować indywidualnie, licząc się z przyczynowymi warunkami, tak że w ramach odpowiedzi, niestety, nie da się ten temat omówić.

„Kultura ciała” już nie wychodzi.

Pani H. B. — Tworzenie się pryszczu w nosie może mieć przyczynę w wrywaniu włosów lub też chronicznym katarze nosa. Było by najlepiej zwrócić się do lekarza-specjalisty, t. j. laryngologa. *Dr. Z. R...ska.*

Pani Zofji Zawadzkiej w Dorniu. — Za miłe życzenia i sympatyczny stosunek do „Bluszczu” serdecznie dziękujemy. Sprawę przesłania książek przekazaliśmy administracji.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Ausirji, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239 40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 714-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszczy”. Rymarska 8, tel. 244-18.